CENA 15 zł

# Wiatr od Morza

CZASOPISMO POŚWIĘCONE POLSKIEJ KULTURZE MARYNISTYCZNEJ

ROK I — Gdańsk-Gdynia, luty 1946 r. — NR 1

*Inż. Eugeniusz Kwiatkowski*

# FORMUJEMY OBLICZE POLSKI



*Jakkolwiek spadło gryzącego zła i piekielnych nieszczęść na nasze pokolenie, pokolenie sponiewierane w ludzkiej godności i obrabowane jak chyba żadne w naszej historii, to jednak jest to niezbędną koniecznością, by cała zdrowa część narodu uświadomiła sobie dokładnie, iż w jej ręku spoczywa los wielu przyszłych pokoleń polskich.*

*Musimy dostrzec, że koło każdego z nas przystanęła dziś niewidocznie historia. My uformujemy oblicze przyszłej Polski. My założymy fundamenty pod niepodległość i wielkość naszego narodu. My rozniecimy rozblask symbolicznej latarni morskiej, której światła przedzierać się będą w mroki nieznanej przyszłości.*

*Chcemy, czy nie chcemy, musimy się chwycić za bary z twardym losem, musimy stoczyć decydującą batalię o oblicze kulturalne, społeczne i gospodarcze nowej Polski.*

*To my, naszą pracą, naszym wściekłym uporem, inteligencją naszej organizacji, wysiłkiem naszego rozumu, naszym cierpliwym spokojem wobec piętrzących się trudności ustalać będziemy w świecie ciężar gatunkowy imienia polskiego i podyktujemy przyszłości albo obowiązek szacunku wobec naszego państwa, albo prawo do nowej, rozbójniczej agresji.*

*Nigdzie jednak, na całej przestrzeni państwa, to historyczne zadanie nie jest tak decydujące, tak ważkie, tak przepojone automatyzmem konsekwencji, jak tu, na polskim Wybrzeżu.*

*W oczach naszych, w okresie jednego roku całe olbrzymie wielowiekowe koło historii przekręciło się nagle o stoosiemdziesiąt stopni. Epoka Piastów stała się na chwilę rzeczywistością dwudziestego wieku.*

*Dostojny Gdańsk, dynamiczna Gdynia, stary Elbląg, nadodrzański Szczecin, spadkobierca tradycji archaicznego słowiańskiego portu Wolina, powracają do swojej, polskiej Macierzy. Są zdewastowane, ograbione, spalone, spustoszone ogniem i mieczem. Nic to. Dziełu barbarzyńskiego zniszczenia przeciwstawimy nasze mocne ramiona, siłę naszego rozumu. Pokonamy zło istniejące i zwyciężymy! Rozpętamy tu wbrew olbrzymim trudnościom, w codziennym zmaganiu się z brakiem pieniędzy i materiałów, istny szał pracy i wytrwałości: aby Polska miała porty morskie wielkie i błyszczące, zbudowane ze stali i granitu; aby miała znowu wspaniałe miasta handlowe u stóp polskiego morza; aby tu każde dziecko polskie wchłaniało w swe płuca żywą atmosferę niepodległości; i aby stąd wiał nieustannie „Wiatr od Morza" na całą Polskę i mówił Jej, że umie nie tylko bohatersko walczyć z najeźdźcą, ale i bohatersko pracować.*

BOLESŁAW WIT ŚWIĘCICKI

# Morze – nowym źródłem kultury polskiej

SZKIC IDEOLOGICZNY

Polska w nowych swych granicach geopolitycznych w szybkim tempie musi przejść ewolucję w kierunku ugruntowania swej pozycji na forum światowym w rzędzie państw o charakterze przemysłowo-morskim.

Weszliśmy w nową epokę. Za nami pozostało pełne tysiąclecie politycznego istnienia naszego narodu, jako narodu rolniczego.

Nie widzę specjalnie potrzeby zbyt obszernego uzasadniania podstawowych tez, zawartych w tytule i w pierwszych zdaniach artykułu, w którym pragnę omówić rzutowo wskazania, wypływające z obecnej rzeczywistości polskiej dla pionierskiej pracy kulturalnej na Wybrzeżu.

Na nowym etapie rozwojowym Państwa Polskiego już nie piastowska socha, ale elektryczny dźwig - kran, ładujący i rozładowujący morskie i oceaniczne transportowce, ma być symbolem suwerenności gospodarczej Narodu Polskiego. Na tym wstępnym etapie nowej epoki suwerenność gospodarcza, jak nigdy przedtem, utożsamiać będzie suwerenność polityczną każdego, ożywionego żarliwym pragnieniem wiecznotrwałego pokoju narodu, a osobliwie Narodu Polskiego.

Obejmując we władanie i użytkowanie pięćsetkilometrowy pas wybrzeża Bałtyku na terenach, które niebawem będą całkowicie i na zawsze oczyszczone od irredenty germańskiej, musimy pracy swej nadać takie tempo, by nikt nie śmiał już więcej insynuować, że po usunięciu Niemców wytworzy się tutaj próżnia ze szkodą dla współczesnej gospodarki i cywilizacji. Tereny te są przeważnie zniszczone, bądź w barbarzyński sposób ogołocone ze zdobyczy cywilizacyjnych tak, iż odbudowywać nam je wypadło od podstaw. Zniszczone miasta-porty z Gdańskiem, Szczecinem i Elblągiem na pierwszym planie, osiedla rybackie, ośrodki rolnicze, przemysłowe i handlowe, leżące w najbliższym zasięgu portów, drogi komunikacji nadbrzeżnej i wgłąblądowej, a więc: szosy, autostrady, sieć kolejowa i telefoniczno-telegraficzna włączone zostały w kompleks kluczowych zadań ogólnokrajowego planu odbudowy.

W ciągu niespełna trzech kwartałów, odkąd tu przyszliśmy śladem zwycięskiego słowiańskiego marszu odwetowego na bestii niemieckiej, dobitej w jej własnym legowisku — Berlinie, zdołaliśmy pokonać wiele przeszkód przy zakładaniu zrębów organizacyjnych pod państwowość i kulturę polską w myśl nakazów czasu.

Na każdym odcinku pracy, zarówno na Ziemiach Odzyskanych, jak i w całym kraju, mamy już poważne osiągnięcia, lecz jakże nam daleko jest jeszcze choćby do momentu rozpoczęcia normalnego startu, jako państwa przemysłowo-morskiego.

W roku bieżącym przewiduje się, że w głównej naszej bazie morskiej Gdańsk — Gdynia obroty towarowe osiągną, a nie wykluczone, że nawet przewyższą, poziom z 1938 roku. Lecz jakże ten przewidywany, niewątpliwie wspaniały wynik pracy mózgów i mięśni naszych okaże się kiedyś nikły w skali istotnych możliwości produkcyjnych i konsumcyjnych Polski Demokratycznej, kiedy już będzie mogła (po zaleczeniu zadanych krajowi ran przez wojnę), w pełni dyskontować korzyści, wypływające z faktu powrotu nad Nisę Łużycką, Odrę i Bałtyk, kiedy w pełni, w warunkach ustabilizowanego pokoju, zacznie zbierać i spożywać owoce dzisiejszej długofalowej i rozumnej polityki jej organizatorów i budowniczych.

Tyle jeśli chodzi o wstęp do tematu.

A teraz istota zagadnienia. Morze—nowym źródłem kultury polskiej. To będzie proste i zrozumiałe. Należy tylko pojęcie kultury rozumieć dosłownie. Pojęcie to, od dawna ustalone w nauce, niestety, nie tylko zresztą u nas, rozumiane było jednostronnie. Słowo, czyli, jak kto woli, termin „kultura" w lapidarnym naukowym pojęciu oznacza zespół wytworów ludzkich w zakresie dóbr duchowych i materialnych. Polska do ostatniego przełomu miała charakter kraju rolniczego. Pojęcie kultury jednak na przestrzeni wieków nie było związane z masą narodu, a tylko z nielicznym odsetkiem warstwy uprzywilejowanej — szlachtą, która wprawdzie odgrywała dominującą rolę w tworzeniu i kształtowaniu tej kultury, ale jednocześnie była jej niemal wyłącznym konsumentem i eksploatatorem. Prawie że do końca XIX wieku, np., teatr, a więc bodaj czołowy współczynnik i mianownik kultury narodu, nie był dostępny dla mas, aczkolwiek jego pracownicy pochodzili przeważnie z ludu, bądź z warstwy mieszczańskiej. Aktor czy aktorka, nawet pochodzenia szlacheckiego, bez względu na swą popularność, inteligencję i wszelkie walory osobiste, nie byli dopuszczani nawet do wspólnego stołu na pokojach jaśniepańskich, a jeśli na kogoś z nich spadała łaska pańska, to ewentualnie dostępował zaszczytu spędzenia sam na sam z jaśniepanem, czy jaśniepanią w ich intymnych apartamentach: garsonierze, czy buduarze. Pionierzy i współtwórcy kultury teatralnej byli traktowani w atmosferze modrzewiowych dworków i stylowych pałaców magnackich mało lepiej od pańszczyźnianej służby. Zresztą, co tu dużo wywodzić, nie tylko znakomici aktorzy, śpiewacy i muzycy, ale również sławni artyści malarze, rzeźbiarze, poeci, pisarze byli podobnie traktowani przez swych wielbicieli, koneserów i mecenasów sztuki, których, obiektywnie mówiąc, nie brak było w warstwie możnowładczej. Kultura szlachecka tkwiła na ogół w marazmie snobizmu i klasowego krótkowidztwa, lecz miała również swoje górne, krótkotrwałe okresy, wtedy, kiedy w poprzek powszechnym mniemaniom, poglądom, skrupulatnie przestrzeganej tradycji obyczajowej i zwyczajowej znajdował się jakiś sporadyczny nowator w rodzaju Frycza Modrzewskiego, Stanisława Staszica, Hugo Kołłątaja, zespołu redakcyjnego „Gazety narodowej i obcej" z okresu Sejmu Czteroletniego, wreszcie całej plejady romantyków i ich epigonów w XIX stuleciu. Trzeba postawić kropkę nad i: nad kulturą polską ciążyła permanentnie na przestrzeni wieków atmosfera pałacu, dworu i plebanii, a i teraz jeszcze, mimo dokonanego przełomu politycznego, pojęcie jej odnosi się wyłącznie do zespołu wytworów ducha i intelektu z pominięciem wytworów pracy fizycznej.

Tak dalej być nie może. Na prekursorach kultury doby obecnej ciąży nie mniejsza odpowiedzialność wobec historii, jak na politycznych organizatorach Polski Demokratycznej, państwa, którego ziemia przestaje być wyłącznym warsztatem produkcyjnym, wyłącznym żywicielem i wyłącznym źródłem wszelkich poczynań twórczych. Prekursorzy kultury doby obecnej muszą nie tylko dotrzymywać kroku organizatorom życia politycznego, budowniczym nowych zrębów państwowości polskiej, lecz w niejednym wypadku muszą ich wyprzedzać, gdyż od ich wysiłków zależeć będzie, jakie formy bytowania zapuszczą korzenie na terenach opróżnionych przez Niemców.

W skali ogólnopaństwowej głównym źródłem natchnień i poczynań twórczych, zarówno w dziedzinie duchowej, jak i materialnej, staje się morze. Z tym trzeba się zżyć: nie wystarczy o tym pamiętać tylko z okazji uroczystości i świąt narodowych. Świadomość tego musi przeniknąć do serc i krwi wszystkich Polaków, zarówno w kraju, jak i na obczyźnie. Musimy o tym pisać i mówić, cały naród musi w tym kierunku pracować. Publicystyka, literatura piękna i naukowa, teatr, muzyka, malarstwo, rzeźba, sztuka ludowa we wszystkich swych nowych przejawach, morze mają przyjąć jako główny motyw, by chłop orzący ziemię, górnik w kopalni, maszynista prowadzący lokomotywę, nauczyciel na głuchej prowincji, rękodzielnicy przy swoich warsztatach i uczeni w swych gabinetach i laboratoriach mieli większe poczucie przestrzeni, świadomość bliższej łączności ze światem, głębsze wyczucie przyszłości, dla której, w pełnym rozumieniu dobra idących pokoleń, należy żyć i pracować.

---

JAN DANTYSZEK

# Jonasz

## Prorok o zniszczeniu miasta Gdańska



Nowe, bogate miasto, co cię zowią Gdańskiem!
Przyjm słowa, które-ć niosę w rozkazaniu Pańskiem:
Krótki czas — jeśli grzeszyć nie przestaniesz dalej —
Twoja cię własna zbrodnia z posady obali.
Prędko wzrosłeś, lecz przebóg! i twa zguba chyża:
Twój dzień, miasto niewdzięczne, rychło się przybliża.
Bezbożność, pycha, rozkosz zawładły twe łono,
Trzy potwory gotują-ć zgubę nieminioną.
Wyuzdany, nadęty swoją zbrodnią czarną,
Mniemasz, Gdańsku, że wszystko uchodzi bezkarnie.
Twój senat trzema grzechy głośno znany światu.
Twój lud zabójczy przykład bierze od senatu.
Bezbożność, pycha, niewstyd, gdzie zasiędą z władzą,
Ludy, miasta, królestwa ze szczętem zagładzą.
Wszechmocny znieść tych zbrodni dalej już nie może:
Popraw się, bo nad tobą ukaranie Boże.

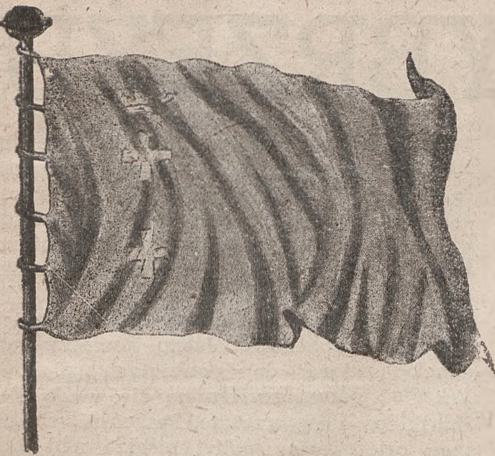
— — — — — — — — — — — — — — — —

Smok oblęże twe mury, choćbyś wzmacniał wieże.
Kiedyż człowiek bez Boga zguby się ustrzeże?
Złamią się twoje baszty, jako domy z karty,
Gdańsku! jękniesz boleśnie z swych bogactw odarty: —
Opuszczą ciebie siły, rozkosze i dary,
Których dzisiaj bezecnie używasz bez miary.
W salach nocnej rozpusty i w domach od złota
Rozpaczliwe zamieszka łkanie i zgrzyzota;
Pychę, zbytek, nieczystość, co psuły wam łono,
Przepaściste czeluście wraz z wami pochłoną!

(Z utworu „Jonas Propheta de interitu civitatis Gedanensis" (1538) — w przekładzie Syrokomli.

MARIAN PELCZAR

# Gdańsk - miasto znowu nasze



„Żyjże z Bogiem ozdobo Orła Sarmackiego Gdańsku, sławo, obrono Portu nadmorskiego".

Nie rozumiano należycie, a być może, że i zgoła nie znano w szeroko na wschód sięgającej Rzeczypospolitej XVII wieku tych słów, wypowiedzianych na zachodnich, morskich rubieżach Polski, w 1682 roku. A wypowiedział je gdańszczanin — Polak, nauczyciel języka polskiego w gdańskim miejskim gimnazjum akademickim, Łaganowski, — wypowiedział je jako noworoczne życzenia, gdańskiej Radzie Miejskiej składane, — wypowiedział je tym gorącym sercem, jakie nosiło w piersiach tylu jego współbraci, sercem, które gorąco kochało Polskę, gorąco kochało i swój rodzinny Gdańsk.

Lecz coraz słabiej wiejący wówczas z zachodu „wiatr od morza" nie roznosił tych życzeń po dalekich ziemiach Sarmackiego Orła, a może głuszył je wiejący ze wschodu wiatr od stepu? Wiatr, który przekreślał politykę Kazimierza Jagiellończyka, który pogrzebał morskie plany ostatniego z Jagiellonów, który zniweczył tworzenie — tak świetnie zapowiadającej się floty polskiej Zygmunta III i Władysława IV.

Lekceważono sobie w Polsce XVI i XVII wieku morskie problemy. Polskie ziemiaństwo do pługa i konia nawykłe nieufnym patrzało okiem ku bezkresnym, zda się, wodnym przestworom Bałtyku, jeżeli dane mu było, wioząc ładowne polską pszenicą szkuty i komięgi, dotrzeć do Gdańska. Przecież hasłem niejako stało się twierdzenie, że: „może nie wiedzieć Polak, co to morze, gdy pilnie orze".

Ten Polak, któremu tyle wody morskiej wystarczało, by konia należycie mógł wypławić. A jeżeli znalazł się wówczas w Polsce ktoś taki, kto jak Dymitr Solikowski głosił, że różnorakie są z morza i morskiego panowania korzyści i pożytki, że kto morze ma, a nie używa go, z wolnego niewolnikiem się stawa, — to albo go nie słuchano, albo też i nie rozumiano.

Tak też nie rozumiano, i nie umiano należycie rozwiązać bardzo dla przyszłości Rzeczypospolitej ważnego, gdańskiego problemu.

A Gdańsk popularny był w Polsce, popularniejszy o wiele bardziej niż morze. Z Gdańska płynęło przecież to wszystko, czego w zamożnym domu polskiego szlachcica używano, to wszystko, co było modne, co z obcych przychodziło krain. Ba, nawet i wschodni towar, cenne korzenie indyjskie, nie bezpośrednio ze Wschodu, a okrężną drogą z zachodu na Gdańsk, do Polski sprowadzano.

Gdańskie szafy i gdańskie piece spotkać można było w każdym niemal zamożniejszym dworze, a gdańska wódka, już wtedy zasłużoną cieszyła się sławą. Do Gdańska zajeżdżali też często i polscy królowie. Na przestrzeni 300 lat nowożytnych naszych dziejów — 10 polskich panujących 25 razy w Gdańsku gościło. Witano ich tu radośnie i wspaniale. Witano serdecznie i szczerze. Bo jeżeli w Polsce nie umiano należycie zdać sobie sprawy z roli Gdańska jako portu Rzeczypospolitej i nie umiano go w pełni politycznie i gospodarczo wykorzystać, a nieliczne próby w tej dziedzinie przedsiębrane kończyły się niepowodzeniami i wątpliwej wartości kompromisem, — to Gdańsk i jego mieszkańcy zdawali sobie doskonale sprawę ze znaczenia polskiego zaplecza gospodarczego, z roli, jaka im (geograficznymi węzłami z resztą ziem Rzeczypospolitej związanym) przypadła i umieli to swe wyjątkowe stanowisko w pełni ocenić oraz olbrzymie zeń wyciągnąć korzyści.

I całe tak bogate dzieje Gdańska w XVI, XVII i XVIII wieku są tego wymownym dowodem. W tym przecie okresie wzrasta niepomiernie handel Gdańska, handel opierający się na polskim surowcu, polskim importerze i... polskim odbiorcy towaru, w tym przecież okresie powstają najwspanialsze gdańskie budowle, piękne dzieła sztuki, kosztowne artystyczne wyroby. I to wszystko umie bogaty i coraz bardziej bogacący się kupiec nadmotławskiego portu ocenić. Wie on, skąd płyną te handlowe korzyści i za nie jest Polsce i jej władcom głęboko wdzięczny.

Jeżeli w roku 1454, rozwścieczeni na gnębiący ich Zakon gdańszczanie, samorzutnie (w chwili poddania się Polsce) do szczętu znieśli krzyżacki zamek w Gdańsku, tak że niemal fundamentów nie pozostało i dopiero po latach historykom z trudem udało się odkryć i ustalić to miejsce, gdzie gród ów stał, — jeżeli ciż sami gdańszczanie zburzyli w następnym roku nienawistne im i konkurencyjne handlowo nowe miasto Gdańsk, krzyżacką „Jungstadt", a w 5 lat później pośpieszyli z realną pomocą polskim wojskom i razem z nimi zdobywali Malbork, stolicę zakonnego państwa, — to uważać to można jeszcze raczej za akty nienawiści w stosunku do Krzyżaków, niż za dowody przywiązania, czy przyjaźni w stosunku do Polski.

Ale kiedy w 200 i 300 lat później, radośnie a z pełnym zrozumieniem, rocznicę wyzwolenia spod panowania Zakonu w Gdańsku obchodzono, gdy z tej okazji wspaniałe medale bito, a uczeni mówcy ważność tego przełomu w historii Gdańska podkreślali, — to takie fakty były już dowodem świadomej polityki i zrozumienia stosunku Polski do Gdańska. I nie są czczym tylko frazesem słowa, wypowiedziane z racji obchodu dwusetnej rocznicy przyłączenia Gdańska do Polski w roku 1654 w mowie profesora wymowy i poezji w gdańskim gimnazjum akademickim, Piotra Titiusa, który omawiając stosunek do miasta poprzednich władców — Wielkich Mistrzów Zakonu Krzyżackiego — i obecnych panów — królów polskich, następujące daje porównanie:

**„Tamci słuszność i wszelkie prawa deptali, ci uważają się za stróżów wszelkich ustaw, — tamci w okrutny sposób uciskali swoich obywateli i poddanych, ci dbają o ich spokój i pomyślność, — pierwszych obawiali się gdańszczanie jak dzikich zwierząt, drudzy wolą ich zjednywać łaskawością i łagodnością".**

A w sto lat później, w 1754 roku, z okazji 300-lecia przyłączenia Gdańska do Polski inny z profesorów tegoż gdańskiego gimnazjum akademickiego, Gottlieb Wernsdorf, wygłaszając na polecenie Senatu gdańskiego okolicznościowe przemówienie, tak ujął znaczenie obchodzonej rocznicy:

**„Upłynęło 300 lat od chwili, w której powstały znowu zburzone przedtem nasze mury i odrodziła się zniszczona dawniej wolność i bezpieczeństwo całych Prus. Widzicie dzisiaj zachowane w kwitnącym stanie z łaski Boga i poparcia najszlachetniejszych królów polskich waszą wolność, prawa i przywileje, wasze mury, posiadłości i dobra, wasze świątynie, bezpieczeństwo osobiste, zdrowie waszych żon i dzieci. Nic by z tych wszystkich dobrodziejstw nie było, gdyby dotychczas deptali po naszych głowach dawni nasi panowie, — których najwstrętniejsze jarzmo znosili długo nasi przodkowie. Panowie ci usiłowali rabunkami, obelgami, bezprawiem i mordami zniszczyć, złupić i wyludnić naszą prowincję. Byłoby się im to udało, gdyby Bóg nie zlitował się nad naszym losem i gdyby przodkowie wasi nie zrzucili tyranii Krzyżaków i nie oddali się chlubnie pod panowanie łaskawych królów polskich".**

Tym oficjalnym niejako wypowiedzeniom gdańskiego senatu odpowiadały w pełni nastroje społeczeństwa gdańskiego. A dały się one poznać najlepiej nie w pełnym dobrobytu XVII, czy też w najbardziej handlowo korzystnej pierwszej połowie XVIII wieku, lecz w latach politycznego upadku Polski. Uciekający z Polski Leszczyński, wypierany przez saskiego kontrkandydata, w Gdańsku jedynych i najwierniejszych zyskuje obrońców; uchodząc z Gdańska, przy pomocy gdańskich mieszczan ratuje swe życie.

Nadchodząca epoka rozbiorów i możliwość dostania się pod pruskie panowanie przeraża gdańszczan. Za żadną cenę nie chcą się dostać w obręb monarchii Fryderyka II-go. Poruszają wszystkie możliwe, i mogące mieć na ówczesną politykę wpływ europejskie czynniki i — przynajmniej na razie — starania ich uwieńczone są pełnym rezultatem. Gdańsk w traktacie pierwszego rozbioru Polski pozostaje przy Rzeczypospolitej. Gdańsk triumfuje, mimo że perfidna polityka pruska, rozciągając swe kordony graniczno-celne szykanuje miasto i dusi je gospodarczo. I jeżeli wierność Gdańska dla Rzeczypospolitej w XVII wieku, jego stanowcze odrzucenie zdradzieckiej namowy króla Karola Gustawa do poddania się Szwecji, mogło być uważane za podyktowane li tylko interesem gospodarczym, acz nim — co wyraźnie podkreślić należy — nie było, to stanowisko Gdańska wiernie stojącego przy Polsce w chwili jej upadku, broniącego się od pruskiej przemocy i zaboru, który w tych końcowych latach XVIII wieku (gospodarczo rzecz biorąc) korzystny byłby raczej dla Gdańska, było dyktowane głębokim przywiązaniem i wdzięcznością dla Polski. I mimo przegranej, mimo postanowień traktatu drugiego rozbioru, włączającego Gdańsk w ramy Prus, lud gdański nie chce i nie może się z tym pogodzić. Szaleńczy krok ataku gdańszczan na wkraczające wiosną 1793 roku w ulice Gdańska pruskie oddziały, był czymś więcej niż niezrozumiałym fanatyzmem gdańskiego pospólstwa. To stanowisko Gdańska trwa nadal, uzewnętrznia się i w próbie powstania antypruskiego, t. zw. spisku studenta Bartholdy'ego z 1797 roku i w czasie całej napoleońskiej kampanii przez współudział w niej gdańszczan z polską armią Gdańsk zdobywającą i wreszcie w gorączkowych dyplomatycznych staraniach delegata Gdańska na kongresie wiedeńskim 1815 roku, by Gdańsk spotkał każdy inny los, a nie ponowne włączenie w ramy pruskich granic.

Stało się wtedy jednak inaczej — i na lat przeszło sto problem gdański zeszedł z terenu politycznych zagadnień Europy. Zeszedł jednak pozornie, w podświadomości bowiem Polaków i Niemców tkwił nadal, tkwił jako groźne memento dla jednych, symbol odzyskania wolności dla drugich.

Zdawał sobie sprawę z wagi gdańskiego problemu żelazny kanclerz Niemiec Bismarck, twierdząc, że powstanie Polski z utratą Gdańska dla Niemiec łączyć się musi. A rozbici w XIX wieku Polacy z utęsknieniem powtarzali słowa wieszcza:

**„Miasto Gdańsk! niegdyś nasze, — będzie znowu nasze!"**

I odtąd Gdańsk staje się niejako symbolem polskich dążeń do wolności. Symbolem państwowej niezawisłości i potęgi, symbolem okna na świat, okna przez polskie morze prowadzącego.

Dziś symbol ten przestał już istnieć, przestał być symbolem. Gdańsk stał się dla nas i jest rzeczywistością, rzeczywistością realną i istotną. Twardą i nieugiętą stopą polskiego żołnierza stanęliśmy nad Bałtykiem, stopą żołnierza, co miesiące, lata i dziesiątki lat walk niepodległościowych szedł ku polskiemu morzu, ku polskiemu wybrzeżu. Nawiązaliśmy do starej, a jednak tak aktualnej dziś właśnie tradycji monarchii Bolesławów, do tych czasów, kiedy rycerze Bolesława Krzywoustego, w uciążliwej walce do morza dotarłszy, zaśpiewali pierwszą i jedyną w dziejach, morską pieśń triumfu i radości — do tych czasów, gdy Bolesław Chrobry do polskiego Gdańska polskich rycerzy, jako orszak towarzyszący św. Wojciechowi, dla obrony, ale i dla zaznaczenia swych monarszych praw wysyłał.

Spod gruzów, zniszczonego kataklizmem wojny pruskiego Gdańska XIX wieku, wydobędziemy słowiański Gdańsk Bolesławów i Mściwojów, Gdańsk Piastów i pomorskich książąt, zbudujemy Gdańsk nowy, — Gdańsk polski!

I w oparciu o należyte już zrozumienie całego polskiego społeczeństwa, w oparciu o historyczną przeszłość, w oparciu o szerokie morskie granice, problem gdański nie potrzebuje już szukać rozwiązania. Zostało już ono znalezione, a potężny, i coraz bardziej potężniejący „wiatr od morza" poniesie wieść o nowym Gdańsku i naszej w nim pracy daleko ku krańcom nowej Polski i dalej na cały świat.

JANUSZ STĘPOWSKI

# STEFAN ŻEROMSKI NA WYBRZEŻU

## Fakty i symbole

U zbiegu ulic Świętojańskiej i 10 Lutego w Gdyni stał do września 1939 roku mały, parterowy domek z czerwonej cegły. Wmurowana w jego frontową ścianę tablica, ufundowana przez gdyński Oddział Związku Dziennikarzy, nieraz skupiała uwagę przybyszów z głębi kraju. Krótki napis zachęcał do refleksji. Wyrażała się ona zazwyczaj nieskomplikowanie:

— O, tu mieszkał autor „Wiatru od morza"!

W istocie, Stefan Żeromski mieszkał w tym domku w czasie letnich sezonów 1921 i 22 roku. Za każdym jednak razem krótko, nawet niespełna miesiąc. Nie na tym oczywiście polegał cały związek Żeromskiego z Wybrzeżem. Nie w tym też miejscu ogniskowały się wszystkie społeczne uczucia wobec piewcy Wybrzeża.

Jeśli historia ceglanego domku zasługuje na uwagę, to przede wszystkim ze względu na jej epilog. Stanowi on ciekawy, autentyczny dokument. Warto zapoznać się z nim również i dla przeciwstawienia go argumentom tych krytyków, którzy w twórczości Żeromskiego odnaleźli ostatnio cechy nieaktualności, lub zdezaktualizowania.

Niebawem po wkroczeniu Niemców do Gdyni, furor teutonicus zakipiał gniewem zemsty. Tablica, zdjęta z murów domku, została zniszczona i poszła na złom. Tylko jeden z jej szczątków, fragment górny z popiersiem Żeromskiego, ocalony przez robotników i znaleziony ostatnio wśród starych, żelaznych rupieci w magazynach Morskiego Instytutu Rybackiego, uchował się do chwili obecnej. W dniu 17 grudnia ub. roku w Zarządzie Miejskim w Gdyni odbyło się jego odsłonięcie z okazji Zjazdu Dziennikarzy.

O ile w zniszczeniu tej tablicy wyraził się prosty, porywczy odruch wroga, o tyle zgładzenie z powierzchni ziemi małego, ceglanego domku świadczyło o charakterystycznym, typowym dla niemieckiego sposobu myślenia, wyrachowaniu. Wobec zachowania tylu szpetniejszych prymitywów z cegły, widniejących do dnia dzisiejszego w Gdyni, rzecz jasna, że nie chodziło tu o „wielkie plany urbanistyczne". Tylko w gruboskórnej otoczce mózgowej hitlerowskich „kulturträgerów" mogła się wtedy wylęgnąć myśl ciasna, że równając z ziemią skromny, w folwarcznym stylu ulepiony budyneczek, zniszczyli tym samym — kult dla Żeromskiego.

Co prawda, nie skończyło się na tym. Aby postawić kropkę nad i, przyszedł tym ponurym kauzyperdom światowego ładu i porządku jeszcze inny pomysł do głowy.

Oto, na wzgórzu witomińskim rosły sobie opodal Gdyni dwa drzewa, okazy bu-



ków. Dosłownie, „nie wadziły nikomu". Traf zdarzył, że zwrócił na nie uwagę Żeromski. Zastanowił go ich bliźniaczy wygląd i osobliwa wegetacja w samotności, na ustroniu. Wrażenie, jakiemu uległ, musiało być silne, skoro autor poświęcił tym drzewom szkic literacki, wydany w 1920 roku, w zbiorze pod nazwą „Inter arma" — bodaj że pierwszy utwór swego pióra, związany z krajobrazem Wybrzeża. „Strażują" — pisał o nich — „wśród wzgórz i dolin ponad świerkowymi lasami, niby zapomniani przez świat książęta kaszubscy. Któż wie" — nie twierdził, lecz zapytywał — „może jednemu z nich na imię Sambor — drugiemu — Mestwin".

Przyszli atoli Niemcy w 1939 roku i poetycka zagadka przestała być dylematem. Niewinne drzewa zostały przez nich skazane na ścięcie. Lecz wtedy właśnie — zagorowała pieśń ducha; dopiero wówczas gdy rozczochrane głowy tych drzew dotknęły swymi koronami kaszubskiej ziemi, ich poetycki rodowód został de facto zalegalizowany. To nie drzewa, lecz prawdziwie Sambor i Mestwin legli wówczas na pobojowisku witomińskim, dając swą śmiercią przykład nieustępliwej, rycerskiej bezkompromisowości w zapasach z odwiecznym wrogiem.

Niemcy, wykonując wyrok na drzewnych okazach, pomylili się jak zawsze w ślepym rozumowaniu. Jak zawsze, zapomnieli w swej krótkowzroczności, że symbolom myśli niesposób odebrać życia. W tym wypadku wizja Żeromskiego nabrała tylko realnej wymowy: — stała się logicznie wytłumaczona i społecznie uchwytna. Na krwawych widnokręgach września 1939 roku przybył w ten sposób do pochodu bohaterów Westerplatte, Oksywia i Helu jeszcze jeden wymowny motyw. Wprawdzie nie ma dziś dwóch samotnych buków na witomińskim wzgórzu, ale w panoramie skłębionych chmur na horyzoncie — na wzór „Pochodu na Wawel" Szymanowskiego — urzekną odtąd niejednego z artystów postacie Sambora i Mestwina, zaklęte w pniu i konarach drzew, jakby kroczyły pośród żyjących symbolów w orszaku najwierniejszych rycerzy i bardów Wybrzeża.

Zrozumiałe, że dwa wyżej przytoczone przykłady, aczkolwiek charakterystyczne, nie stanowią czynnika rozstrzygającego o aktualności dzieł Żeromskiego w procesie obecnych rewizjonistycznych sądów. Zapewne tego rodzaju weryfikowanie wartości może w głębi kraju zaprzątać umysły, dając nie bez powodu asumpt do wysnucia wielu słusznych twierdzeń, założeń i przekonań w kryteriach literackich. Ale już z formalnych względów uderza tu w ujęciu i podejściu do sprawy pewna ważna, zasadnicza różnica. Na Wybrzeżu aktualność twórczości Żeromskiego nie przedstawia powodu do jakiejkolwiek dyskusji.

Jeżeli przyjmiemy, że miarą aktualności autora jest najtrwalsze jego dzieło w dystansie czasu, to należy stwierdzić, że „Wiatr od morza" w twórczości Żeromskiego jest tego najlepszym przykładem. Trzeba dobrze uświadomić sobie, że przewodnia myśl tego utworu i dziś w sposób najzupełniej rzeczywisty służy na Wybrzeżu sprawie polskich rąk, serc i umysłów. To nie zdawkowy komunał: — **walka o mocne kształty i najlepszą treść przyszłego życia na tej odległej, nadmorskiej krawędzi ziemi.** To nie zwykły, poetycki wymysł: — **wyrobienie na użytek codzienny hartu ducha i kierowanie się realnym idealizmem.** Jeśli taka świadomość założeń twórczych, budujących wartości ludzkich charakterów, przyświeca dziś Wybrzeżu, to w dużym stopniu jest to zasługą — Żeromskiego. Prorocza wizja, jaką stworzył w „Wietrze od morza", przepowiadając Gdyni, ubogiej, na martwych, pustych brzegach rybackiej wioski, wspaniałą świetność portowej metropolii, **łączy się dziś z każdym spojrzeniem w przyszłość u progu Wielkiej Odbudowy życia na tutejszym terenie.** Zgliszczom i ruinom na pobojowisku ostatniej wojny, jak tam, nicości pustych brzegów, przeciwstawia się ta sama myśl, śmiało wybiegająca naprzód, jako cel wymarzonego w trudzie pracy jutra.

Dlatego, reasumując, nie jest to metaforą z przypadku, ale logicznym wnioskiem, że Stefan Żeromski z całym autentyzmem aktualności **stanął z nami w pierwszym szeregu pionierów Wybrzeża.**

Duch twórcy nie widzi powojennych zgliszcz i ruin. Urzekło go 500 kilometrów brzegowej przestrzeni, w której budzi się wizja wielkiej przyszłości, jak wtedy — z „Wiatrem od morza".

## Wybrzeże kwitnące

Za oknem pada listopadowy deszcz. Płacze po szybach nadmorska jesień. Monotonna symfonia dnia, nieznana ludziom z głębi lądu. Mieszają się w niej klasyczne akcesoria krajobrazu: uporczywa mgła na morzu, twarde uderzenia fal o brzegi, bezlistne drzewa i przeciągły wiatr, wiejący z pustych wydm, napuchłych od wilgoci.

O takiej jesiennej dobie, dwadzieścia lat temu, dnia 25 listopada 1925 roku zmarł Stefan Żeromski w Warszawie. Szukam dzisiaj dla tej rocznicy żałobnego akordu. Nie byłoby nic łatwiejszego, jak sięgnąć w tym celu do jesiennej partytury i wybrać z niej kilka nastrojowych efektów. Czuję jednak, że ulegając takiej pokusie, uczyniłbym coś sprzecznego z przekonaniem. Raczej narzuca się tu inna asocjacja.

W twórczości Żeromskiego, poświęconej nadmorskiej ziemi, mieści się **odczucie przyrody, obudzonej do życia.** Świat jego pieśni wypełnia rozbłask barw. Każde spojrzenie za śladem tej twórczości prowadzi po rozsłonecznionych ścieżkach w malowniczy krajobraz wiosny i lata.

Poeta, reżyserując widowiskowe misterium, dokonał niezwykłej sztuki. Można by powiedzieć, że na jego znak podniosła się zasłona, utkana z dżetowych koralików deszczu i śniegu, jakby dla sceny Wybrzeża nie stanowiła nic więcej, jak tylko kurtynę teatralną, której zniknięcie wydaje się rzeczą normalną. Nic dziwnego, widz jest przygotowany do apercepowania wrażeń z otwartej sceny. W nastawieniu tym koncentruje uwagę tym chętniej, że przed jego oczami rozściela się na scenie to, czego pragnie — kraina marzeń. Do jego wyobraźni przemawia Wybrzeże w okresie rozkwitu swej urody. Wrażenie, któremu wtedy ulega, przechodzi w zachwyt, łączący się łatwo z nutą rozbudzonych wspomnień. Trzeba bowiem dodać, że znaczna większość widzów tego misterium rekrutuje się z letników, którzy z pobytu swego nad morzem pamiętają jedynie rozgrzaną temperaturę własnych reminiscencji, ciepłą plażę i gorący koloryt krajobrazu.

Nie znaczy to, aby artyzm Żeromskiego opierał się tu na sugerowaniu błędów. Dekoracja, po mistrzowsku przez niego odtworzona z krajobrazu w okresie pory roku, najżyczliwiej przemawiającej do ludzkiej wyobraźni, chociaż w swym charakterze jednostronna, jest jednak w tym czasokresie zgodna z treścią i formą najpiękniejszych wzorów natury.

Kiedy obecnie myślę o tym, wydaje mi się rzeczą dziwną, jakimś nieporozumieniem, że na Wybrzeżu deszcz pada i spłukuje wilgotną nawierzchnię ziemi, w której jakby się zamknął wielki ślimak w śnie zimowym.

Przerzucam kartki „Wiatru od morza" i nie znajduję w nich słowa o zimnym podmuchu nordy, który na kaszubskim Przymorzu trwa z kalendarzową akuratnością od „Burz Wszystkich Świętych" w październiku, aż po „Wielki Piątk — dzień Płaczeboga". (Nie bez powodu jedno z starokaszubskich przysłów przestrzega dowcipnie: „Do Swjętego Decha nie zdjimoj kożecha, a po Swjętim Dechu chodze też w kożechu"). Wierzę jednak, że z tą samą kalendarzową akuratnością zaświeci tu słońce z „Iżykwjotem" — kwietniem. Zgodnie z wypowiedzią Żeromskiego zapłonie ono wtedy „niby krzak ognisty pośród nieba, morza i ziemi". Ożywią się wówczas na Wybrzeżu „złote głowy brzóz białych, stojących rzędem na leśnym skraju", „liście kalin i pędy leszczyn", „zabrzęczą ciężkie pszczoły, dźwigające brzemiona wonnej żywicy i pyłów", a w powietrzu rozlegnie się „śpiew tysięcy ptaków nad trawami", wśród których, „niby fruwające kwiaty, polatywać będzie tysiąc wielobarwnych motylów".

Jest rzeczą nie tylko wielkiej sztuki, lecz i zasługi Żeromskiego, że pozostawił ludzkiej pamięci Wybrzeże wiecznie kwitnące i urodne, zawsze strojne i powabne.

Charakteryzuje to artyzm poety i społeczną wdzięczność w zasłuchaniu się w echa trwającej dotąd jego pieśni.

## „Chciałbym tę ziemię przeżyć wewnętrznie"...

W liście, datowanym 17 marca 1919 roku, pisał Stefan Żeromski do Bernarda Chrzanowskiego:

„Od dziesiątków lat jest moim najgorętszym pragnieniem zapoznanie się gruntowne z wybrzeżem morskim i Półwyspem Helskim, z ludem, mową, obyczajami i całkowitym zakresem tamtejszego życia, co udałoby mi się następnie spożytkować, być może, w sposobie literackim i odtworzeniem artystycznym. Wyjazd czasowy w porze letniej do tych okolic, gdy nadto wybiera się tam obecnie bardzo wiele osób, byłby dla mnie bezcelowy, gdyż nie umiem zbierać dorywczo wiadomości i wrażeń. Musiałbym tę całą ziemię poznać i przeżyć, jak przeżyłem wewnętrznie inne okolice kraju. Toteż pragnąłbym tam zamieszkać, o ile by mi zdrowie i zdrowie córki pozwoliło, na dłużej"...

List ten w genezie „Wiatru od morza" ma ważne znaczenie. Jasno tłumaczy stosunek autora do powziętych planów. Wkrótce potem zacieśniają się węzły Żeromskiego z Wybrzeżem. Przyczynił się do tego czterokrotny pobyt pisarza nad morzem w latach 1920—23. Towarzyszyła mu wtedy zawsze najbliższa rodzina: żona Anna i kilkuletnia córka, Monika.

Trudno ten pobyt, trwający nad morzem corocznie od początku maja do końca września, kiedyś nawet do 12 października, nazwać zwykłymi wakacjami. Jeśli się zważy, że był to za każdym razem okres pięciu miesięcy, można powiedzieć, że Żeromski **mieszkał** w tych latach na Wybrzeżu. Spowodowała to niewątpliwie chęć, sprecyzowana w liście do B. Chrzanowskiego. Lecz chociaż pragnienie „grumtownego zapoznania się z zakresem miejscowego życia" było u pisarza szczere, w rzeczywistości mogło się spełnić tylko częściowo. Całkowitemu poznaniu i przeżyciu tej nadmorskiej ziemi nie sprzyjały okoliczności.

Pisarz dysponował wiedzą historyczną, dynamiką uczuciową, władał po mistrzowsku piórem w opisach krajobrazu. Wydźwięk jego wzruszeń był wzniosły i namiętny. Wobec majestatu morza i natury Przymorza wyraziło się w tym artystyczne dostrojenie do tematu przez patos w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Już z tego widać, że związek z rzeczywistością polegał tu jednak przede wszystkim na wysłowieniu zestawień form zewnętrznych. Treść wewnętrzną tego morskiego i przymorskiego świata oddać mógł poeta jedynie — intuicyjnie.

Niejedne rzeczy i sprawy, które przemawiały do jego duszy, chociaż zmysłami uchwytne i na pozór bliskie, musiały pozostać dla Żeromskiego — obce. W pierwszym rzędzie — morze. Na dowód, można by zacytować sporo przykładów, zaczerpniętych z „Wiatru od morza", wskazując, ile w nich naiwności i rzeczowych omyłek pod szatą pięknego, śmiało rzeźbionego słowa.

Trzeba atoli zdać sobie sprawę z ważniejszych przyczyn, usprawiedliwiających autora, a nawet świadczących o jego intencjach — korzystnie. Żeromski nie nosił morza we krwi. Nie znał go z powszedniej prawdy, z dziedzictwa, ani bodaj z tradycji dzisiejszych sentymentów i haseł. Wyrósł z pokolenia, dla którego morze i brzeg morski były jeszcze pojęciem egzotyki. Współczesnym jego epoce rówieśnikom żywioł morski przypominał zazwyczaj obce strony, najczęściej lazurowe niebo Italii i ciężkie pieniądze, utopione w podróży na Rivierę. W kraju, rzecz ciekawa, było to bowiem zaledwie dwadzieścia pięć lat temu, znano morze, jeśli nie z relacji bogatych obieżyświatów, to jedynie z poetyckich, lub powieściowych utworów. Tworzyło to razem dziwną mieszaninę romantycznych zachwytów i podziwów, jak i ludzkich zazdrości i tęsknot za Wielką Przygodą pośród burz, wichrów i groźnych, nieśmiertelnych korsarzy.

W takich okolicznościach przybycie Żeromskiego na Wybrzeże z powziętym planem odtworzenia jego „ludu, mowy, obyczajów i całkowitego zakresu tutejszego życia", to coś naprawdę nowego w dotychczasowych zainteresowaniach zarówno społecznych, jak i literackich. Ujawnił się w tym wyraźny bunt przeciwko dekadentyzmowi dotychczasowych pojęć lądowych. Był to zarazem akt o doniosłym znaczeniu moralnym, towarzyszyło mu bowiem przejęcie się ideą morską, jej duchem patriotycznym, jej rolą wychowawczą jeszcze w zaraniu kształtujących się podstaw.

Od Żeromskiego nie można wymagać więcej. Trudno w ciągu czterech lat przejąć i ogarnąć wszystkie, od wieków nagromadzone tajemnice atawizmu morskiej natury. Wprawdzie pisarz nie mógł zamknąć w dziełach swoich całości tematu i bez porównania lepiej od morza opisał jego wybrzeże, jednak dodać trzeba, że i w tej części, której piórem swoim sprostał, uderza hierarchia narastających zainteresowań artysty, cenna jako wypowiedź, jako zjawisko — niezwykła. Mam tu na myśli obraz konsekwencji pisarza, który za swym poematem „Wisła", podążył za nurtem królo-

wej rzek Polski do morza, aby szukać w nim treści i kształtów wiślanej metamorfozy. Jako przykład ewolucyjnego przeobrażenia, wyrasta z tego poematu — „Wiatr od morza". O procesie przemiany pojęć lądowych na walory morskie świadczy też w dalszej kolejności utwór, osnuty przez pisarza na tle helskiego pejzażu — „Międzymorze".

W życiu poety ów twórczy proces narasta w dłuższym okresie czasu. Pominąć go nie można, gdyż zanim powstała trylogia „Wisła", „Wiatr od morza" i „Międzymorze", proces ten odegrał w duszy poety rolę przygotowawczą, wywierając duży wpływ na jego przeobrażenia wewnętrzne. Siła, która złączyła Żeromskiego z Wybrzeżem, miała swe źródło w aktywnej tęsknocie. W liście do Bernarda Chrzanowskiego tłumaczył pisarz swą chęć poznania Wybrzeża jako „najgoretsze pragnienie od dziesiątków lat". W istocie, nie były to słowa bez pokrycia. Już znacznie przedtem określił Żeromski swój stosunek do Wybrzeża jako **„marzenie całego życia"**.

Na dowód, trzeba przypomnieć niezwykły epilog „Urody życia", powieści, wydanej w 1911 roku. Losy jej bohatera kończą się katastrofą: samolot Piotra Rozłuckiego wpada w morze. Wyratowany wówczas z topieli morskiej przez załogę niemieckiego okrętu, zapytuje Rozłucki oficerów: „Jak nazywa się ląd, który tam widać"? W odpowiedzi, słyszy: — „Pommern". Wtedy wytęża wzrok „w tamtą stronę". Wpatruje się w złote, lśniące na słońcu wybrzeże". I pisze Żeromski: — „Podźwignął (Rozłucki) ręce i wyciągnął je do dalekich — dalekich, białych domków kaszubskich, o których **marzył przez całe życie**. Wyszeptał: „Pomorze"!.."

Rzecz charakterystyczna, że od tej strony marzeń nie znalismy bohatera „Urody życia". Rozłucki, jak go pamiętamy z kanwy powieści, nie miał nic wspólnego z Pomorzem. Ta ziemia kaszubska, o której „marzył przez całe życie", wyrasta więc właściwie tylko z osobistej tęsknoty Żeromskiego; totеż w „Urodzie życia" wcielił ją w obraz osobliwego, zaskakującego cytelnika epilogu.

Co też ciekawe: okrzyk Rozłuckiego nie minął bez echa. Nie spodziewał się Żeromski, że sprowokuje nim zawiązek zdarzeń, ważnych dla jego życia i twórczości. Było to w rok po ukazaniu się „Urody życia", gdy „pewnego pięknego dnia" otrzymał pisarz małą, niepozorną książeczkę z dedykacją — „Dla Piotra Rozłuckiego". Jego roztkliwieniu — jak pisał wtedy — towarzyszyła równocześnie „głęboka ciekawość", gdyż książeczka nosiła tytuł: „W naszubskim brzegu". Nic dziwnego, że w jej autorze znalazł Żeromski najlepszego powiernika własnych tęsknot. Bo też przypadek okazał się tu naprawdę szczęśliwy. Autorem wspomnianej książeczki był nie tylko dobry znawca Wybrzeża, ale w istocie jeden z pierwszych odkrywców piękna w przymorskim krajobrazie — Bernard Chrzanowski.

Bliższe stosunki i korespondencja, trwająca odtąd przez siedem lat, wpłynęły na zażyłość obu autorów, w rezultacie zaś na pamiętne wyznanie, jakie skierował Żeromski do B. Chrzanowskiego w liście z dnia 17 marca 1919 r., decydując się na swój wyjazd na Wybrzeże.

Nie na tym kończy się nić ich przyjaźni. Autor szkiców pt. „Na kaszubskim brzegu" oraz „Z wybrzeża i o wybrzeżu" był w rzeczywistości pierwszym przewodnikiem Żeromskiego w nadmorskich stronach. Znaleźć można na to dowody nie tylko w „Wietrze od morza" przez poetyckie pokrewieństwo wzruszeń w obliczu krajobrazu. Świadczy o tym również wspólność zainteresowań dwóch turystów, których nieraz złączyła wędrówka na tych samych szlakach.

## Na tropach w krajobrazie

Kiedy obecnie legenda, pomieszana z rzeczywistością, stworzyła z biegiem lat wokół genezy „Wiatru od morza" nowy obraz, odbity w ludzkiej wyobraźni i sentymentach, sądzę, że nie od rzeczy będzie przypomnieć życiowe związki Żeromskiego



z Wybrzeżem według faktów stwierdzonych.

Wydaje mi się to tym bardziej konieczne, że pod wpływem kultu dla autora „Wiatru od morza" można było już przed wojną zaobserwować na Wybrzeżu predylekcję do snucia różnych, wyimaginowanych opowieści, które prawdę tych związków i faktów zniekształciły w dowolnej interpretacji.

I tak, wbrew powszechnemu mniemaniu, nie napisał Żeromski „Wiatru od morza" w małym, czerwonym domku Plichtów i Hebłów w Gdyni. Jak wspomniałem, mieszkał on w tym domku dwukrotnie, lecz za każdym razem krótko. Powstało w nim jedynie kilka fragmentów tego utworu. Przede wszystkim jednak pisał tu Żeromski korespondencje swoje do warszawskich gazet.

Naprawdę też „swój ingres" w nadmorskie strony rozpoczął pisarz w 1920 roku nie w Gdyni, lecz pod Gdynią — w Orłowie. Żeromski wynajął tam mieszkanie za pośrednictwem zawsze mu oddanego Jakuba Mortkowicza, właściciela znanej warszawskiej firmy księgarskiej i wydawniczej, której nakładem ukazywały się jego dzieła. W Orłowie — jak pisze Chrzanowski, który niemniej przyczynił się tam do wynajmu mieszkania u Kukowskiego, właściciela Kolibek — zajmował wtedy Żeromski z rodziną „domek, różowo tynkowany, niedaleko ujścia Kaczy do morza, blisko mostku na niej".

Najmilsze jednak wspomnienia — jak tę relację zawdzięczam wdowie i córce po znakomitym pisarzu — mają się łączyć z ich wspólnym pobytem w Helu w latach 1922—3. Mieszkał tu Żeromski z rodziną w poniemieckim Domu Zdrojowym od strony zatoki Puckiej, znanym później pod nazwą „Polonia". Wszystkie stąd ścieżki prowadziły pisarza do ulubionej sosny, przy której długie nieraz godziny spędzał z maleńką córką, Moniką. Szkoda, że tej sosny dziś nie ma. Jeszcze przed wojną byli tacy, co ją ścięli. Podobny los podczas wojny spotkał również budynek „Polonii".

Monika Żeromska dobrze pamięta dawne „szczęśliwe, helskie czasy".

— Nie mogłam wtedy ojca nigdy dogonić, tak prędko chodził — mówiła do mnie ostatnio w Sopocie. Jej wspomnienia z dzieciństwa są żywe w barwie i ruchu. Jako artystka-malarka umie je teraz odtworzyć plastycznie zarysowując na ich tle sylwetkę ojca:

— Najchętniej chodził boso wzdłuż brzegu, po samej krawędzi plaży, nie zwracając uwagi na rozlewające się po jego nogach fale. Zwykle miał wtedy w rękach mały notes i pisał w nim ciągle, zawsze tą samą zieloną kredką. W ten sposób, z całą pewnością, powstał na helskiej plaży fragment o mewie z „Międzymorza".

Podobnie wiele miejscowości na Wybrzeżu można dziś połączyć z pracą pisarską Żeromskiego. Jasne, że nie na ich kopiowaniu z topograficzną dokładnością polegała sztuka artysty. Poszczególne fragmenty „Wiatru od morza", czy „Międzymorza", rodziły się w duszy poety z różnych skojarzeń w czasie i przestrzeni. W każdym bądź razie można by na Wybrzeżu wskazać niemało obiektów natury, na które zwrócił był uwagę Żeromski, które upamiętniał w swoich literackich notatkach i do których nieraz powracał w turystycznych wędrówkach, zanim przeszły one, jako tło i kulisy, w jego dzieła drukowane.

Typowym tego przykładem jest wspomniana historia dwóch samotnych buków na witomińskim wzgórzu. Niejedną też wioskę rybacką w okolicy Gdyni, czy Pucka, zwiedził autor, zainteresowany kaszubskim folklorem. Najwymowniej jednak to zainteresowanie związało się w „Wietrze od morza" „z biedą, jaka zdarzyła się była w domostwie rybaka Jana Kąkola" w małej wiosce na półwyspie Helskim — „w Chałupach, to jest po prawdzie, w Ceynowie".

A gdzież Smętek, trapiduch, wykręcił sobie fujarkę wierzbową? Gdzie to wygrywał na niej do tańca ową śpiewankę, której opis w „Wietrze od morza" stanowi w naszej literaturze jeden z najpiękniejszych fragmentów poetyckiej prozy? Działo się to w prawdziwie uroczej dolinie Redłowa pod Gdynią, która i dziś jeszcze z każdą wiosną „zbiega wśród kwiatów i motyli" ku morskiemu brzegowi.

W Gdyniześrodkowały się, jak wiadomo, najmocniejsze wzruszenia Żeromskiego. W 1920 roku biedna, mała wioska rybacka trwała, jeszcze w swym odwiecznym śnie zaściankowym. W lichej szachownicy pól, w nikłych ogródkach za płotkami, pośród kilkunastu chat, po'atanych, sczerniałych od starości, beznadziejnie gubił się tu wzrok na jałowych piaskach. Od strony Chylonki, od torfowisk, dobiegały pobekiwania kóz i naszczekiwania psów, czepiające się bezpańskiego echa. I na morzu nie było na czym zatrzymać spojrzenia. W pustce goniły się fale. Na redzie, odległej od wezgłowia drewnianego mola, kołysało się za obrębem szerokiej, przybrzeżnej mielizny kilka niepozornych trawlerów, przypominając z daleka pudełka od sardynek, spuszczone na wodę przez dzieci, bawiące się w „okręty".

W ten przestwór ubóstwa i pustki wprowadził Żeromski tętno i rozmach życia: wizję przyszłej Gdyni. „Ockniona znowu z tysiącletniego snu wola Chrobrowego króla, spełniona wykonaniem sprawa żywota Jana Henryka Dąbrowskiego" objawiła się w jego proroczych słowach, „ażeby pokazać u amek potęgi wielkiego plemienia, zabudowując zimną pustkę od strony Gdyni ubogiej i od strony martwych pagórków Oxywia. Tu i tam" — pisał „pobiegną w ciągu lat kilometry betonowych i kamiennych bulwarów i placów. Tam, gdzie teraz wałęsają się w malarycznym oparze białe, lub łaciate kozy, uwiązane na postronkach i przytroczone na głucho do kołków wbitych w torfowisko... zaświszczą sygnały i syreny setek kotłów, bić będą w niebogłosy jak w Southampton tysiące młotów, warczeć będą maszyny, śpiewać będą pracownicy, przygotowywać się do podróży wokół globu ziemskiego polskie okręty i młodzi polscy marynarze. Forty na cyplach Helu, Oxywia i Kamiennej Góry osłonią to pracowisko od pokuszenia się o nie wroga, linie kolei żelaznych poniosą stąd dorobek świata w głąb lądu, a z głębi lądu przytaszczą na wywóz dorobek pracy rąk polskich. W ciągu lat wykopany zostanie z długiej szyi chylońskiej ośmiometrowy pokład torfu, a pod spodni piasek wyrzucony na podstawę wałów i tam, ujmie kisnące wody malarycznej rzeczułki w czynne i żywo działające baseny. Wokół bulwarów staną olbrzymie hale, warsztaty, windy, przedziwne kształty stoczni i magazynów, biura, domy, baraki, hotele. Rozłożą się pod gołogórami Oxywia, w wewnętrznym porcie Polski, szeregi grubych kominów okrętów wojennych, z ich wieżami i blockhauzami, z paszczami armat i złowieszczym łożyskiem straszliwej torpedy. Głębokie gdyńskie morze, najgłębsze miejsce w gdyńskiej zatoce, ujęte zostanie w szerokie, kilometry zakreślające mola, czyli ostoje, przedportu.

Ten niewysławionej piękności poemat, tworzony w drzewie, kamieniu, betonie i żelazie — ten przepotężny dramat, ukazujący wydzieranie morzu jego wód, siły, głębi i władzy — ta wspaniała powieść o rozdarciu ramieniem człowieka dziejów ziemi... to nowe, w polskiej lądowej duszy zatoczone dzieło, stawało się w oczach, z dnia na dzień ukazywało swe strofy nieznane"...

Czy śmiałe te zapowiedzi opierały się wówczas na jakichś realnych podstawach? Niewątpliwie wizja Żeromskiego w „Wietrze od morza" była odbiciem marzeń, pragnień i tęsknot, nagromadzonych z biegiem lat w duszy poety. Nie trzeba jednak zapominać, że wyrosła ona również w atmosferze specjalnych nastrojów społecznych.

Nie bez powodu nadmieniał Żeromski w liście do B. Chrzanowskiego, że już w 1919 roku „wybierało się" nad morze „bardzo wiele osób". Wprawdzie w rezultacie w rok potem znalazła się nad morzem niewielka liczba przybyszów z głębi kraju, lecz była to bezsprzecznie awangarda entuzjastów.

Właśnie w tym czasie morze stało się atrakcją chwili. W 1920 roku, na mocy uchwały Traktatu Wersalskiego, Niemcy oddali Polsce Pomorze. Z radością tą łączyła się równocześnie żałobna myśl o Gdańsku który wydzielono z polskich granic, dając mu odrębną formę istnienia w postaci Wolnego Miasta. Było o czym myśleć, pisać i mówić. Wentylowano szeroko, szumnie i z rozmachem tematy narodowościowe, historyczne, żeglugowe i ogólno-gospodarcze. Aktualna dyskusja miała poziom nierówny, brak w niej było niejednokrotnie fachowego wglądu w istotę rzeczy. Ogólnie zgadzano się z przekonaniem, że skoro Gdańsk, „miasto niegdyś nasze, nie ma być znów nasze", Polska musi zbudować dla siebie własny, niezależny port. Albowiem od tej conditio sine qua non zależy jej rozwój życia na otwartych szlakach morskich, przede wszystkim zaś — autorytet wobec świata. Nic wtedy nie przemawiało do polskiej psychiki tak zgodnie i jednomyślnie, jak ten zwłaszcza honorowy argument.

Jasne, że w tym nastroju społecznym przypominano sobie co chwila, zaślubiny Polski z Bałtykiem, które odbyły się w Pucku dnia 10 lutego 1920 roku. Akt ten dzia-

## *Żeromski wśród młodzieży akademickiej w Gdyni*

Było to w 1921 roku. Pierwsza akademicka kolonia wypoczynkowa, zorganizowana przez Bratnią Pomoc Studentów Uniwersytetu Warszawskiego dla współkolegów z wszystkich miast uniwersyteckich w Polsce, zjechała w tym czasie szumnie i gwarnie do Gdyni.

Rzecz zrozumiała, kilka samochodów, zapadając się po osie w piaskach wioski, musiało wtedy narobić dużo szumu i hałasu, zanim dobrnęło pod wzgórze Kamiennej Góry. W miejscu, gdzie dziś ulica Lipowa, przy drodze, wiodącej w kierunku Orłowa, wyładowano sprzęt obozowy. Już po kilku dniach zabrzmiał tu wesoły gwar. Kolonia pięknie „umeblowała" pobliskie pustkowie. W szczerym polu stanęło miasto namiotów. Wkrótce potem, o kilkadziesiąt kroków w kierunku wioski, zbudowano baraki drewniane dla podobozu żeńskiego. Akademickie osiedle miało wtedy też filię obozu męskiego w Redłowie.

Akademicy byli jednymi z pierwszych, którzy zbiorowo, w zorganizowanym zespole, przybyli na obozowe wywczasy do Gdyni, będącej jeszcze rybacką wioską. Inny szczegół, godny zapamiętania, to bliskie, serdeczne współżycie, jakie złączyło wtedy tę młodzież ze Stefanem Żeromskim. Był on niemal codziennym gościem obozu pod Kamienną Górą. Wszyscy obdarzali go tu wielką miłością i czcią. Niezapomniane chwile spędzono w jego obecności na długich, wspólnych rozmowach. Autor zajęty był wówczas pisaniem „Wiatru od morza", być może jednak, że w tym okresie letnim powstał w myślach Żeromskiego typ Baryki, przedstawiony z czasem w „Przedwiośniu". Przypomnieć też trzeba, że oprócz Żeromskiego, częstym gościem akademickiego obozu był wtedy również Abraham, wielki patriota polski, znany przywódca Kaszubów. (J. M.)



lał bezpośrednio na wyobraźnię, obiecywał szczęście w praktyce pożycia małżeńskiego. Nic też dziwnego, że ledwie w tym roku słońce w lipcu przygrzało, skierowały się do tego prastarego portu Rzplitej pierwsze wycieczki z głębi kraju. Lecz morskich zapaleńców spotkał tu, niestety, przykry zawód. Port mały, płytki, położony jak w kozim rogu w kącie zatoki Puckiej; nie posiadał odpowiednich kwalifikacji dla rozbudowy. Wprawdzie tę wiadomość, podaną przez morskich ekspertów, przyjęto zrazu z nieufnością, ale z ich zdaniem, tak czy owak, trzeba było się liczyć. Wydłużyły się tedy ludzkie nosy, wietrząc na wszelki wypadek za lepszą lokatą małżeństwa z Bałtykiem.

O Helu trudno było coś wtedy powiedzieć. Była to dosłownie terra incognita. Nie prowadziła tam, jak obecnie, kolej żelazna. Podróż piesza w tę stronę i z powrotem zapowiadała z góry same niewygody. Mogli sobie na nią pozwolić tylko poszczególni gorliwcy. Niełatwo też było wtedy dotrzeć na północ, do odległej Karwii, skoro zamiast dzisiejszej autostrady prowadziła tam jedynie smętna drożyna przez piaszczyste wertepy.

W tych warunkach cały ruch turystyczny na przestrzeni 72 kilometrów brzegu morskiego skoncentrował się ostatecznie w Gdyni. Chociaż cały przystanek kolejowy tworzyła tu mizerna buda z nieociosanych bali z poręczą zamiast drzwi i ściany frontowej, a wygląd biednej, rybackiej wioski nie budził zachwytu, miała ta miejscowość przynajmniej to do siebie, że nie odbierała myślom nadziei w lepszą przyszłość. Przecież to tutaj, w zatoce morskiej u rzeczki Chylonki pod Oksywiem, król Władysław IV nosił się z planem zbudowania portu na wzór Genui! Wystarczyło przy tym, że na gdyńskiej redzie stały wówczas wszystkie polskie okręty: — widok bandery dodawał otuchy.

Latem 1921 roku z niemałą ulgą dowiedziano się w Gdyni, że wstępne pomiary, dokonane w zatoce u Oksywia, przyniosły wynik pozytywny. A więc król Władysław IV miał słuszność. Stwierdzono, że zatokę można zamknąć falochronem, pogłębiwszy zaś wewnątrz dno morskie, stworzyć w niej portowe baseny i nabrzeża według najnowocześniejszych zdobyczy techniki. Wzorem dla tego rodzaju portu nie miała być Genua, ale francuska Casablanca na atlantyckim brzegu Marokka. Czy fantazji ludzkiej potrzeba było wdzięczniejszego pola do popisu? Po raz pierwszy z tą dziwną wiadomością zawiał mocny wiatr z dalekich, morskich przestrzeni świata.

Naocznie przekonano się przy tym, że szlaki morskie mogą spełnić najmilsze zamierzenia. Pamiętam, jak ważną rolę w rozgorączkowanym klimacie nastrojów tego lata odegrał u brzegów Gdyni statek szkolny „Lwów", który przybywszy właśnie z Holandii, zakotwiczył na redzie rybackiej wioski, aby zaokrętować na swój pokład pierwszych uczniów i kandydatów Państwowej Szkoły Morskiej. Szkoła ta niedawno, rok temu, narodziła się była w pieluchach wiślanych — w Tczewie. Piękny żaglowiec, rasowy, trzymasztowy bark, liczący 85 metrów długości, 11,5 szerokości, pojemności 1293 BRT wyrażał w samej rzeczy więcej, niż to rachubą suchych cyfr określić by można.

Jeszcze dziś, po wielu latach, ze wzruszeniem dotykam w pamięci jego zardzewiałych burt, wyszorowanego cegłami pokładu i rej, na które wraz z kolegami podnosiłem ciężkie zwoje żagli. Prawda, z pozoru komicznie brzmiała na tym statku codzienna komenda, podawana z mostku kapitańskiego przez pogiętą, niklową tubę: — „Buty, skarpety, na grotlukę — luz!" „Bram, bombram, topgoście — szkrabaj się!" Ale też kapitan Tadeusz Ziółkowski, który tę komendę w osobliwym języku wymyślił, był jednym z tych pedagogów, którym było dane wysoko wyhisować polską banderę na szlakach morskich. Wanty, po których „szkrabali się" w górę adepci żeglarskiej sztuki, prowadziły „bram, bombram i topgości" znacznie wyżej, niż na gołębiak (saling)—czterdzieści dwa metry nad poziom morza. Ich drodze po drabinkach sznurowych, pod rozchwianym niebem, w rozkołysach statku towarzyszyła młodość, gotowa sięgnąć choćby do słońca i gwiazd.

Chociaż pierwszy polski statek szkolny był prawdziwie weteranem morskim, i on też dobrze rozumiał prawa młodej duszy ludzkiej. Jego nawigacyjne kody wpajały katechizm, zrozumiały dla każdego, ktokolwiek miał szczęście wtedy uczyć się z niego zapału, wiary, męstwa, hartu, dumy, radości życia w koleżeńskiej spójni i silnej woli w przezwalczaniu trudności — cnót, nieodrodnie związanych z zaprawą charakterów w zawodzie żeglarskim.

Nie zawiódł się on też na swoich wychowankach. Z pod żagli tego statku wyrósł pierwszy zastęp doskonałych, polskich marynarzy. Ich głośne dziś nazwiska tłumaczą w dużej mierze tajemnicę szybkiego rozwoju portu gdyńskiego w historii jego żeglarskich sukcesów. Pośród tych nazwisk można by wymienić wielu kapitanów dalekiej podróży, inżynierów - mechaników pierwszej klasy, dyrektorów samodzielnych przedsiębiorstw portowych, inspektorów żeglugowych, kierowników stoczni. Obok tych znawców morskiego świata i morskiego rzemiosła dwa zwłaszcza przykłady, przeszedłszy w legendę dzisiejszych czasów, stały się wzorami dla następnych pokoleń: Stanisław Kosko, uczeń pierwszego kursu nawigacyjnego, z czasem zaś dyrektor Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni i Olgierd Zaborowski, pierwszy wśród inżynierów - mechaników okrętowych, prawdziwie rycerska postać o monolitowym charakterze. Obaj polegli bohaterską śmiercią w obronie Gdyni w 1939 roku: — pierwszy jako nawigator, drugi — przy „maszynce", ce-ka-emie.

Umiał Żeromski w tym pierwszym polskim żaglowcu szkolnym docenić jego wartości wychowawcze, odnajdując w nich zadatki wielkich przyszłych czasów dla Gdyni. Interesowali go młodzi uczniowie Szkoły Morskiej, ich nauka, tryb życia. Sam pamiętam go pośród zaproszonych gości w dniu poświęcenia statku latem 1921 roku.

Jeśli w „Wietrze od morza" przepowiadał młodym polskim marynarzom rejs wokół globu ziemskiego, była to niewątpliwie myśl, przejęta spod żagli szkolnego barku. Co prawda, w 1921 roku żaglowiec ten krążył tylko po Bałtyku, lecz już w dwa lata potem dotarł w swej ćwiczebnej podróży do brzegów Brazylii. Na jego ośmioletnie, szkolne pływanie złożyły się w dalszym ciągu rejsy: do Anglii, Włoch, na Maderę i wyspy Azorskie, w ostatnim zaś 1929 roku — na morze Śródziemne i Czarne. Chociaż nie było dane temu weteranowi spełnić dosłownie wizji Żeromskiego, jednak w tym czasie, gdy już, przeżarty rdzą, połatany cementem, zakotwiczony w porcie wojennym na Oksywiu, dożywał swej emerytury, służąc łodziom podwodnym za składnicę materiałów, — dokonał rejsu dokoła globu ziemskiego (w 1935 r.) nieodrodny jego szkolny następca, jedna z najpiękniejszych fregat morskiego świata, dziś szczęśliwie powrócona polskiej banderze handlowej wraz z jej pierwszym kapitanem, Konstantym Maciejewiczem — „Dar Pomorza".

W czasach swego pobytu w Gdyni bywał Żeromski również i na wojennych okrętach. Zbladłe, prześwietlone zdjęcie z 1921 roku (nie mogliśmy go tu zamieścić z tego powodu, przyp. Red.), przedstawia pisarza wśród uczestników akademickiej wycieczki na pokładzie jednej z kanonierek. Sądząc z „Wiatru od morza", jego wojenno-morskie zainteresowania miały większe aspiracje. Dowodzą tego w tym utworze perypetie bohaterów "U. 72-a" — Ottona von Arffberg - Dusemer i Konrada Klanga. Wykazał przy tym Żeromski pewną znajomość urządzeń łodzi podwodnych.

Oczywiście, w Gdańsku niemieckich łodzi podwodnych wtedy nie było. Nikt by mu zresztą tam potrzebnych wiadomości nie udzielił chętnie. Kilka też lat dzieliło jeszcze naszą Flotę Wojenną od powitania w jej zespole „Żbika", „Wilka", czy „Rysia". Ale znalazł Żeromski podczas swego pobytu w Gdyni oficerów, którzy niedawno temu, podczas wojny światowej, służyli w niemieckiej, bądź też w rosyjskiej Marynarce Wojennej; ci mogli mu z pamięci udzielić dużo szczegółów, dotyczących wyglądu, nazw i właściwości technicznych w precyzyjnej aparaturze łodzi podwodnych.

W tych okolicznościach jeden z wyższych oficerów, kmdr Korytowski zawdzięczał — jak mi to skromnie nadmieniał — — najmilsze swoje wspomnienia rozmowom z autorem „Popiołów". Sądzę, że dużo przemawia za tym, aby w jego osobie uznać jednego z patronów łodzi podwodnej "U. 72-a".

Kmdrowi Korytowskiemu wypada mi też przypisać inną, ciekawą wiadomość. Usłyszał on ją bezpośrednio z ust Żeromskiego. Okazuje się oto, że nie Wejherowo, Puck, ani Rzucewo, lecz Krokowo, z cudownie szumiącym, starym parkiem i zamkiem w winorośelach, bogata domena zniemczonego rodu Krokowskich, położona w okolicach Żarnowca, posłużyła autorowi „Wiatru od morza" za malownicze tło, wokół którego osnuł on dzieje dramatycznej miłości bohatera łodzi podwodnej "U. 72-a".

**Janusz Stępowski**

(Dokończenie w następnym n-rze)

**JERZY WYSZOMIRSKI**

# Gdyńskie wspomnienia

Pamiętam polskie morze i Gdynię na kilka lat przed wybuchem wojny. Od tamtego czasu nie widziałem Wybrzeża. Nie mogę więc napisać o nim nic aktualnego. Mogę się tylko podzielić z czytelnikami wspomnieniami.

Spędziłem w Gdyni jedną zimę z r. 1935 na 1936. Była to epoka t. zw. „radosnej twórczości" i rozpędu budowlanego zarówno miasta jak portu. W owej epoce panoszyło się dziwne słownictwo: mówiło się o „nożycach cen", o „nakręcaniu koniunktury", o „przekrojach kierunkowych nastawienia dynamiki gospodarczej na płaszczyznę kontaktów społecznych" (czy coś w tym rodzaju); o Gdyni wykładało się, że jest „największym naszym osiągnięciem na odcinku życia gospodarczego", że stanowi „wspaniały wyczyn naszej prężności nie tylko ekonomicznej, ale i duchowej"; że stała się „rezultatem ekspansji i realizacji postulatów"...

Zimą spojrzałem na Gdynię inaczej niż w karnawale letnim. Widziałem dużo plam na jej pięknym malowidle. Ale na plamy te składała się nie natura, lecz ludzie. Nie spodobali mi się gdynianie w codziennym mroźnym życiu. Wziąłem z czytelni (a czytelni było zawstydzająco mało i przykro ubogie) „Ziemię obiecaną" Reymonta i dostrzegłem niezaprzeczone podobieństwo pomiędzy ówczesnym gdynianinem a tym okazem „Lodzermenscha", jaki żerował w Łodzi pół wieku temu.

Oczywista, we wszystkich Klondajkach świata musi się zjawić typ wyzyskiwacza, oszusta, nabieracza, awanturnika, amatora lekkiego zarobku, niebieskiego ptaka, brutala, który bez skrupułów dąży do zrobienia majątku w najszybszym czasie. Wszelako stwierdzenie tego faktu nie jest równoznaczne z uznaniem i przyjęciem go. Wymieniony typ człowieka jest nie tylko aspołeczny, ale szkodliwy i groźny dla moralnego zdrowia otoczenia. Kant, lipa, machlojka — słówka obiegowe u nas przed wojną — wcielały się w Gdyni w czyn na każdym kroku, znajdowały najdoskonalsze pokrycie rzeczowe w tych dziedzinach jej gospodarki, których nazw — jako człowiek nieobyty z portem — musiałem się dopiero uczyć: a więc w owej spedycji, akwizycji, maklerce, szyphendlerce, sztauerce itd. itd.

Pozory życia były najbardziej efektowne: wielopiętrowe kamienice (na skutek pośpiechu nieco tandetnie wznoszone), gabinety nieprzebranej ilości dyrektorów, limuzyny, reprezentacyjne uroczystości, recepcje z szampanem; olśniewające blaskiem biura, banki, i „Colombiny"; tętniące gorączką interesów sklepy, wielkie kawiarnie — „Fangrata" i „Francuska"; kuszący szelest wszechświatowych banknotów...

Lecz za tym wszystkim krążyły jakieś upiory. Wieczorami na głównych ulicach miasta, ożywionych neonami barów, widziało się gromadki dzieci obdartych i brudnych. Późniejszym wieczorem, po całodziennej żebraninie nadciągało ich coraz więcej i wszystkie dążyły w górę ulicą Świętojańską. Gdy było je zapytać, skąd są i dokąd idą, prawie każde odpowiadało do Małego Kacka. Wystarczyło więc z ulicy Świętojańskiej oddalić się o 20 minut drogi, aby się przekonać, że Gdynię nurtowała choroba. Wystarczyło się udać na ulicę — powiedzmy — Piotrkowską Nr 113.

Prawda, brzmiało to imponująco: Gdynia 2, ul. Piotrkowska 113. Ale listonosz gdyński wiedział, że list trzeba doręczyć w Małym Kacku, włączonym do tzw. wielkiej Gdyni, dokąd się jechało, czy szło, szosą gdańską, wśród niewielkich wzgórz istotnie malowniczych, białych zimą i świeżych od śniegu. W Małym Kacku wszystkie ulice — nie ulice lecz ścieżki polne, zasypane śniegiem, lub zatopione w błocie — nosiły nazwy miast polskich...

Właśnie w owym czasie — mego zimowego pobytu w Gdyni — otrzymałem z „Gazety Polskiej" propozycję na napisanie kilku korespondencyj z Gdyni i Wybrzeża. Poszedłem przede wszystkim do Małego Kacka, poczytując za pilną sprawę zwrócenie nań uwagi społeczeństwa. Odnalazłem małutki baraczek z dykty bodaj zbity. Bo Mały Kack był niczym innym, jak okropną „dzielnicą chińską" t. zw. pekinem, gdzie się tłoczyły tysiące bezrobotnych. Statystyka urzędowa nadzoru budowlanego wykazała w owym czasie, że w tzw. „wielkiej Gdyni", obejmującej z Kackami, Redłowem, Witominem, Grabówkiem i Orłowem 70 km kw., baraki stanowią 75 procent ogólnej ilości budynków.

Słynął też podówczas „dom nędzy" przy ul. Morskiej. Był to niewykończony gmach szkoły gospodarczej — monumentalny i ultranowoczesny. Jesienią roku 1935 kilkadziesiąt rodzin bezrobotnych, chroniąc się przed chłodem, okupowało gmach, którego wykończenie wstrzymano przed zimą. Założyli tu całą republikę. Powstawiali piecyki, pozabijali deskami otwory okienne, zaczęli gospodarować na zasadach gromowładztwa, „ferajny" i „dintojry", stając się postrachem dzielnicy, położonej zdala od śródmieścia. Z wiosną następnego roku „czynniki miarodajne" miały dużo kłopotu, gdy przyszło do wysiedlania obywateli tragicznej republiki, aby naprawić i wykończyć budynek.

Wróćmy na Piotrkowską 113. W owym baraczku stał żelazny piecyk z jedną fajerką, o popękanej dymiącej rurze, stał pogięty blaszany kubeł i nic więcej nie mogło się tam zmieścić, oprócz piętrowych niziutkich i wąziutkich nar dookoła trzech cienkich ścianek, bo czwartą zajęły drzwiczki. Nie było gdzie usiąść. Gdy się było na parterowych narach, trzeba się było zginać wpół, ponieważ piętrowe nie pozwalały się wyprostować. W baraczku mieszkała rodzina, złożona z sześciu osób. Na górnej półce leżał ojciec — gruźlik w ostatnim stadium, charczący i plujący bez przerwy. Matka przy pomocy kilkunastoletniej córki gotowała zmarznięte ziemniaki i kapustę bez okrasy. Dwóch chłopców — sześcio-siedmioletnich — mogło tylko na zmianę odetchnąć powietrzem, miało bowiem jedną parę podartego obuwia i jedną wiatrem podszytą kapotkę. Przy piecyku, na gołej ubitej ziemi, gmerało się w łachmanach dziecko może roczne.

Moja korespondencja o „pekinach" gdyńskich nie zasłużyła sobie na druk w „Gazecie Polskiej". Dostałem pismo od jednego z redaktorów, a w nim szczegółowe wskazówki: właśnie zapoczątkowano budowę portu rybackiego we Władysławowie, należy pojechać tam, opisać tempo robót i podać przemówienie jakiegoś ówczesnego dygnitarza, który przy uroczystym otwarciu w mocnych słowach podniósł zapewne „realizację prężności", czy może „hasło nastawienia zdolności obronny". Do Władysławowa nie pojechałem. Lecz miałem to zadośćuczynienie, że w rok potem, w numerze morskim „Wiadomości Literackich" wypełniłem całą kolumnę wrażeniami z Gdyni, obok kolumny Uniłowskiego, który odważnie zobrazował „wstydliwe" zakątki tamtejszego życia.

Od mojej zimy, spędzonej na polskim Wybrzeżu, mija dziesięć lat. Wiele wydarzeń przewaliło się przez świat i przez Polskę od tamtych czasów. Wróciliśmy nad polskie morze, o ileż większe niż było dziesięć lat temu. Natura się tam nie zmienia. Lato będzie zawsze kwitnące i zielone, wypełnione rozgwarem nieprzeliczonych rzesz, które będą tu ściągać ze wszystkich stron naszej ojczyzny w poszukiwaniu odpoczynku, zdrowia fizycznego i hartu duchowego. Zimy będą tu zawsze ostre i dojmujące. A jacy będą ludzie?

Dziś nawiedził Wybrzeże — jak całą Polskę — szabrownik, brutalniejszy i gorszy od owego „człowieka interesu", o którym wspominałem. Ale szabrownik wyginie. W muzeum gdyńskim będą przyszłe pokolenia oglądały ze zdumieniem odlew gipsowy tego jaskiniowca naszej epoki, po społu z innymi okazami barbarzyństwa, jakiego zaznaliśmy w nadmiarze czasu najokrutniejszej z wojen. Spełni się we wszystkich szczegółach sen Żeromskiego. Gdynia, a z nią szereg przywróconych Polsce starych jej grodów nadbałtyckich, odrodzi się i rozkwitnie nowym życiem. W życiu tym, którego dźwignią będzie rozumnie i uczciwie pojęta dążność do najszerszego i równomiernego dobrobytu, uwzględnione zostaną równie szeroko potrzeby duchowe i kulturalne ludności, niedostatecznie zaspokajane w epoce przedwojennej: teatry i sale koncertowe, biblioteki i uczelnie wyrosną na Wybrzeżu tak samo, jak owe „hale, warsztaty, stocznie i magazyny", których wizje snuł Żeromski. I wszystkie miasta Wybrzeża polskiego, wszyscy ich mieszkańcy będą pamiętali, że tu, wśród nich, istnieje niewielka osada, która w okresie wojny zyskała sobie najzaszczytniejsze miano Termopil polskich. To Westerplatte.

„Kiedyś" — pisze młody poeta — „zaczną przebierać w historycznym pyle i z tego pyłu tworzyć mity naszych czasów; i powiedzą, że to są nowe Termopile, i że tam zginął cały huf Leonidasów; i kiedyś na Wybrzeżu usypią mogiłę ku chwale Nieznanego Morskiego Rycerza, wierząc, że ta mogiła wyobraża siłę, która będzie broniła polskiego Wybrzeża"... Mogiła Westerplatte nałoży na Wybrzeże obowiązki moralne, z których się ono wywiąże.

Dr MARCIN DRAGAN

# Myśl szczecińsko-bałtycka Kazimierza Wielkiego

I

Wśród wielu wielkich zadań, jakie w przebiegu tysiącletnich dziejów wypadło Polsce rozwiązać, zajmuje sprawa opanowania dostępu do morza Bałtyckiego jedno z naczelnych miejsc. W zaraniu dziejów chodziło o zabezpieczenie granic północnych państwa, z czasem jednak wyłoniła się konieczność otwarcia rosnącej potędze Polski okna na morze i świat. Gdy całemu szeregowi monarchów Polski średniowiecznej przypada w udziale zasługa politycznego i cywilizacyjnego (przez organizację kościelną) zespalania Pomorza z Polską, to w politycznej działalności ostatniego Piasta na tronie Polski, Kazimierza Wielkiego, mamy do czynienia z konsekwentnie realizowanym planem, obliczonym **na opanowanie całości pobrzeża Bałtyku wraz z ujściami Odry i Wisły,** a to zarówno celem osiągnięcia stanu bezpieczeństwa politycznego państwa na północy jak i utrwalenia spokojnych warunków dla wymiany gospodarczej Polski ze światem.

W historiografii polskiej i obcej, zwłaszcza niemieckiej, spotkać można pewne rozbieżności w ocenie metod i dróg, jakimi zmierzał Kazimierz Wielki do realizacji swych planów polityczno-gospodarczych. Wyniki mnogich rozważań naukowych nad całokształtem osiągnięć działalności tego króla doprowadziły jednak do ustalenia, na ogół zgodnego, niezaprzeczalnej zasługi jego w wyprowadzeniu Polski z ciężkich trudności politycznych, w jakich znalazła się skutkiem dwuwiekowego rozbicia dzielnicowego, niszczących najazdów tatarskich i z powodu brandenbursko-krzyżackiego naporu od całej północy bałtyckiej. Uznaje się również na ogół zgodnie rację polityki ruskiej Kazimierza W., obliczonej na zabezpieczenie tak polityczne, jak gospodarcze Polski od strony Czarnego Morza i otwarcie jej też w tamtą stronę swobodnego oddechu. Nie znajduje się żadnych zastrzeżeń co do działalności wewnętrznej tego króla, dla jego pracy ustrojowo-unifikacyjnej i dla rozumnej, sprawiedliwej jego polityki społecznej. Zamilkły i milkną dalej ostatnie pomruki krytyczne o zbędnej rzekomo skłonności Kazimierza W. do ustępstw terytorialnych na rzecz Luksemburgów i Zakonu Krzyżackiego, a to dzięki dokładniejszej analizie całokształtu warunków, w jakich wypadło temu władcy działać i rozstrzygać sprawy państwa zrujnowanego materialnie, wyludnionego, pozbawionego spoistości politycznej wewnętrznej i wystarczającej na potrzeby zewnętrznej siły obronnej.

Dzisiaj już wiemy i rozumiemy jasno, że zwycięstwa jagiellońskie nad Zakonem (1410 i 1466 r.) i odzyskanie dostępu do morza to głównie zasługa organizacyjnej i dyplomatycznej pracy Kazimierza W. I pośród zagadnień szczegółowych, ilustrujących politykę zagraniczną Kazimierza W. utrzymuje się po dziś dzień jako przedmiot trwającej dyskusji sprawa Pomorza Zachodniego (Szczecińskiego) a mianowicie **plan związania unią personalną Pomorza Szczecińskiego z Polską za pośrednictwem osoby Kazimierza (Kaźka) Szczecińskiego, ukochanego wnuka królewskiego, syna Elżbiety, córki Kazimierza Wielkiego i Bogusława V, księcia szczecińsko - wołgoskiego.**

Mając się tu właśnie zająć tym aktem politycznej działalności Kazimierza W. z zamiarem naświetlenia źródłowego jego planu połączenia Pomorza Zachodniego z Polską — musimy na wstępie stwierdzić, że plan ten jest koniecznym, organicznym składnikiem całego programu polityczno-strategicznego, obliczonego na okrążenie ziem krzyżackich ze wszystkich stron i przygotowanie w ten sposób rewindykacji ziem, odstąpionych Krzyżakom przejściowo traktatem kaliskim w roku 1343.

**Politykę okrążenia Zakonu** rozpoczął już ojciec Kazimierza W., Władysław Łokietek, nie mogąc na drodze prawno - dyplomatycznej dojść do odzyskania ziem, zagrabionych przez Krzyżaków w latach 1308—9, a rozpoczął ją zawarciem w r. 1325 przymierza z Litwą i umacniając to przymierze małżeństwem syna Kazimierza (późniejszego Kazimierza Wielkiego) z księżniczką litewską Aldoną (Anną). Po śmierci ojca, Kazimierz W., kontynuując politykę okrążającą Zakon, już w pierwszych latach panowania wszedł w bliskie stosunki z Pomorzem Zachodnim zawierając 24-go lutego 1340 r. przymierze z Bogusławem V, księciem wołgosko-szczecińskim, skierowane wyraźnie przeciw Krzyżakom, gdyż Bogusław V zobowiązał się do nieprzepuszczania przez swój kraj żadnych posiłków, które by zdążały z Zachodu na pomoc Krzyżakom. Przymierze to zostało umocnione małżeństwem Bogusława V z córką Kazimierza Wielkiego Elżbietą, ułożonym w r. 1340, a zawartym w r. 1343-im. To zbliżenie się Polski do Pomorza Zachodniego i przymierze z Bogusławem V skłoniło Zakon do pośpiechu w zawarciu porozumienia z Polską w r. 1343.

Z tego to właśnie małżeństwa Bogusława V szczecińskiego i Elżbiety Kazimierzówny urodził się w roku 1345-ym syn Kazimierz (Kaźko), prawy dziedzic po ojcu Pomorza wołgosko-szczecińskiego. Osierocony w młodości przez wczesną śmierć matki chował się młody Kaźko **przeważnie na dworze krakowskim** i zdobył sobie serce dziadka, zastępując mu syna, gdyż los nie dał królowi Kazimierzowi Wielkiemu doczekać się własnego syna, a tym samym prawego dziedzica korony. **Z osobą tegoż ukochanego wnuka łączy król Kazimierz w dalszym ciągu swą politykę przeciwkrzyżacką, mającą doprowadzić do rewindykacji ziem utraconych w roku 1343 (głównie Pomorze Gdańskie).** W r. 1365 doprowadza do małżeństwa Kaźka Szczecińskiego z córką Olgierda Litewskiego, Kenną. Przez to małżeństwo zamierzał król wzmocnić na dalszą przyszłość **front przeciwkrzyżacki,** litewsko - polsko - pomorski, zacieśniony już dawniej przez trwające przymierze z lennikiem Polski, księciem Mazowsza, Ziemowitem III.

## II

Z tymi naszkicowanymi tu w skrócie kombinacjami zewnętrzno-politycznymi wiązały się w umyśle Kazimierza Wielkiego troski o losy tronu i państwa na wypadek jego bezpotomnej śmierci. Przewidziany na podstawie zawartych układów sukcesyjnych na ewentualnego następcę po Kazimierzu W. jego siostrzeniec, król węgierski Ludwik Andegaweńczyk, nie rokował z powodu słabego zdrowia długiego życia a poza tym nie miał i on męskiego potomka. W tym stanie rzeczy powstał u króla **plan wysunięcia Kaźka szczecińskiego, jako ewentualnego następcę tronu w Polsce po Ludwiku.** Ta sukcesyjna kombinacja godziła się w sposób znakomity z całą konstrukcją polityki frontu antykrzyżackiego, w szczególności z tendencją do trwałego związania losów Polski z Pomorzem i Bałtykiem; jednocześnie osoba sukcesora Piasta pomorskiego, gwarantowałaby państwu polskiemu potrzebną ciągłość dynastyczną. Gdy w końcu zmarła w roku 1368 Kaźkowi pierwsza żona, Litwinka, doprowadził król do małżeństwa jego z Małgorzatą, córką Ziemowita III mazowieckiego, zaokrąglając tym sposobem ostatecznie cały swój plan polityczny, obliczony na pełną rewindykację poniesionych przez Polskę strat.

Jest rzeczą pewną, że przy okazji jednego z małżeństw Kaźka — w roku 1365 lub 1368, najprawdopodobniej jednak z okazji związku Kaźka z Ziemowitówną, **król Kazimierz adoptował na syna i jednocześnie,** wedle relacji Janka z Czarnkowa, zaufanego podkanclerzego Kazimierza Wielkiego, **wyznaczył Kaźkowi w posiadanie ziemię łęczycką i sieradzką, przylegające bezpośrednio do lennego Mazowsza.**

Ten krok polityki dynastycznej Kazimierza W., najzupełniej zresztą zgodny z piastowskim prawem dziedziczenia, czynił z osoby Kaźka szczecińskiego **dziedzica t. zw. koniecznego korony polskiej.**

Na ten fakt **adopcji i jednoczesnego nadania ziem łęczyckiej i sieradzkiej Kaźkowi w r. 1368,** a więc wówczas, gdy król będący w sile wieku i cieszący się pełnym zdrowiem rozumiał zapewne wagę podejmowanych przez się decyzji prawnych, musimy położyć szczególniejszy nacisk, zwłaszcza przy omawianiu ostatniego aktu prawnego Kazimierza Wielkiego, a mianowicie zapisu testamentu dla Kaźka szczecińskiego z 3-go listopada 1370 roku.

Dodać tu jeszcze musimy dla uwypuklenia polityki i osiągnięć Kazimierza Wielkiego w ostatnich latach życia i panowania, że król skłonił w latach 1365 — 1368 dotychczasowych lenników Brandenburgii, panów v. Osten, **siedzących w Santoku i Drezdenku, do uznania swego zwierzchnictwa,** następnie zaś, zapewne w roku 1368, zdobył niesłychanie ważny pod względem strategicznym pas ziemi między prawymi dopływami Noteci — Chudą i Drawą z grodami **Wałczem, Drahimem i Czaplinkiem.** Przez te zdobycze przerwał Kazimierz W. związek terytorialny pomiędzy posiadłościami Marchii brandenburskiej i Zakonu Krzyżackiego i co równie ważne: nawiązał bezpośredni związek terenowy między ziemiami Polski i Pomorza szczecińskiego. Widzimy z tego, że ostatnie lata życia i panowania Kazimierza Wielkiego cechuje wybitnie energiczna działalność polityczna i zdobywcza na odcinku przybałtyckim.

## III

Nagle spada na króla i Polskę niespodziewanie katastrofa jesienią 1370 roku.

Król Kazimierz Wielki w dniu 7 września w Przedborzu, w ziemi sieradzkiej, wyprawił się na polowanie, mimo — jak opowiada kronikarz Janko — „ostrzeżeń niektórych pobożnych dworzan" (był to dzień wigilii Narodzenia N. M. P.).

W czasie polowania król, zapędziwszy się za jeleniem, spadł z konia, złamał nogę i odniósł wiele innych ciężkich obrażeń. Następstwem tego wypadku była ciężka, przewlekła choroba, która wskutek niewygód podróży, nieostrożności króla, niestosowania się do rad lekarzy, przeszła w stan groźny tak dalece, że gdy ostatniego października przybył do Krakowa, czuł wyraźnie zbliżający się koniec życia. W trzy dni później zawezwawszy do siebie zaufanych dostojników duchownych i świeckich, podyktował im swą ostatnią wolę, której tekst spisał kanclerz królestwa, Jan Suchywilk. Na treść tej ostatniej woli Kazimierza Wielkiego, podaną nam w kronice Janka z Czarnkowa, składają się różne zapisy na rzecz krewnych króla, na rzecz osób zasłużonych, dla kościołów itd., a wśród nich wymieniony jest, bez specjalnego podkreślenia, zapis na rzecz wnuka królewskiego, Kaźka szczecińskiego. Tekst tego ostatniego zapisu ma w kronice brzmienie następujące:

> **„...zarazem synowi ukochanej córki swej Elżbiety, żony Bogusława, księcia szczecińskiego i Kaszubów, Kazimierzowi, swemu wnukowi, zapisał ziemie: dobrzyńską, kujawską, sieradzką i łęczycką z miastami Kruszwicą, Bydgoszczą, Wielałowem i Wałczem"** (przekład polski własny).

Ten zapis testamentarny na rzecz Kaźka szczecińskiego był, począwszy od Długosza, aż po czasy dzisiejsze, częstokroć przedmiotem ujemnej krytyki pod adresem króla, który nie zważając rzekomo na interes państwa i na prawa przekazane w układach sukcesyjnych Ludwikowi andegaweńskiemu wydzielał z serca Polski obszerne ziemie i nadawał je wnukowi.

Znamienne jest jednak, że Długosz, piszący swą historię w mniej więcej sto lat po śmierci Kazimierza Wielkiego, potępiający ze stanowiska mocarstwowej polityki Polski jagiellońskiej zapis dla księcia szczecińskiego i uzasadniający konieczność obalenia zapisu testamentarnego czuł się zmuszonym do stwierdzenia, **że Kaźko posiadał lepsze prawa do tronu w Polsce aniżeli Ludwik węgierski.**

Dla wyrobienia sobie przybliżonego obrazu sytuacji, w jakiej miały się rozegrać losy zapisu na rzecz Kaźka, wystarczy przytoczyć relację Janka z Czarnkowa w sprawie unieważnienia tego zapisu. Czytamy tam, że:

> **„...niektórzy panowie rady zmarłego króla, sprzyjający bardzo Węgrom,** sądzili, że książę Kazimierz na ziemi sieradzkiej, łęczyckiej, dobrzyńskiej i zapisanych mu grodach, przy poparciu swego szwagra Karola, cesarza rzymskiego (cesarz Karol IV Luksemburczyk był żonaty z siostrą Kaźka) i Bogusława, swego ojca, księcia szczecińskiego, **może osiągnąć tron Polski jako dziedzic i prawowity następca swego dziadka Kazimierza, Króla Polski** i tego właśnie obawiając się radzili (ci panowie sprzyjający Węgrom) królowi **Ludwikowi, aby tegoż Kazimierza do objęcia ziem sieradzkiej i łęczyckiej, które dziadek mu nadał z okazji adopcji na syna, za żadną cenę nie dopuścił".**

Z przytoczonej relacji, w której wiarygodność nie mamy żadnej racji powątpiewać, wynika, że Kaźko posiadł prawa do ziem łęczyckiej i sieradzkiej niezależnie od zapisu testamentarnego, lecz w związku z adopcją na syna w r. 1368. Z tejże relacji, w połączeniu z przytoczonym wyżej zdaniem Długosza wynika, że Kaźko posiadł z woli Kazimierza W. **rzeczywiste prawa następstwa tronu w Polsce,** które jednak nie musiały koniecznie obalać praw sukcesyjnych Ludwika węgierskiego. Można jednak również z relacji o adopcji i równoczesnym poważnym nadaniu Kaźkowi obszernych ziem Polski wyprowadzić wniosek, że mogły na długo przed śmiercią powstać ważne dla króla Kazimierza Wielkiego motywy polityczne, zalecające mu wysunięcie osoby Kaźka w pewnej mierze przeciw Ludwikowi, gdyby ten, wbrew zobowiązaniom układowym co do rewindykacji Pomorza, chciał potęgę polsko-węgierską wyzyskać dla swej dynastycznej polityki na południu; w takim razie wnuk Kazimierza W., przyszły książę Zachodniego Pomorza, pan rozległych terytoriów w Polsce i posiadający prawa do korony, miałby reprezentować interes Polski na północy i wschodzie — wobec Zakonu Krzyżackiego, względnie też w stosunku do Mazowsza i Litwy.

Chcąc ocenić fakt testamentu ze stanowiska polityki całej Kazimierza Wielkiego, wystarczy rzucić okiem na kartę Polski i posuwać się śladem ziem i grodów, nadanych przez króla wnukowi, a dojdzie się z łatwością do przekonania, że król ten miał plan skupienia w ręku Kaźka szczecińskiego ziem przylegających z jednej strony do Mazowsza, z drugiej strony od ziemi dobrzyńskiej poprzez Kujawy, Kruszwicę, Bydgoszcz w kierunku północno-zachodnim na Wałcz, wytyczał wyraźną drogę wprost ku centrum przyszłego Kaźkowego dziedzictwa: — Pomorzu Szczecińskiemu. **Mamy tu zatem przed sobą głęboką myśl polityczną stworzenia drogi łączącej Polskę z morzem, stworzenia także ścisłego, naturalnego związku interesów Polski i Pomorza Zachodniego przeciw ekspansywnej polityce Zakonu Krzyżackiego.**

Zarówno prawa Kazimierza Szczecińskiego do tronu Polski, jako też nadania ziem, zwłaszcza sieradzkiej i łęczyckiej, z których, według relacji Długosza, Kaźko dobrowolnie w układach z Ludwikiem węgierskim zrezygnował — nie doczekały się realizacji. Po śmierci ojca, Bogusława V, objął Kaźko swe dziedzictwo na Zachodnim Pomorzu w roku 1374, lecz w trzy lata później zmarł po nieszczęśliwej wyprawie pod nadwiślański gród Złotorie.

Nie ma potrzeby koniecznej doszukiwać się wad charakteru Kaźka Szczecińskiego dla zdyskwalifikowania planów Kazimierza Wielkiego, związanych z osobą wnuka. Jeszcze bardziej niewłaściwe jest twierdzenie o niepoczytalności umierającego króla w chwili dyktowania testamentu, główne bowiem decyzje, dotyczące planu szczecińsko-bałtyckiego zapadły najpóźniej w roku 1368-ym.

Nie było i nie ma żadnych podstaw do wysuwania ujemnych sądów o polityce Kazimierza Wielkiego, którego całą działalność polityczną, nie wyłączając postanowień, związanych z osobą Kazimierza Szczecińskiego, cechuje głębokie zrozumienie i odczucie położenia politycznego i interesów państwa polskiego.

**Kazimierz Wielki jest pierwszym w dziejach przedstawicielem świadomej w celach i systematycznie realizowanej polskiej „polityki morskiej i polskich dążeń do trwałego związania terytorium państwowego z wybrzeżem Bałtyku. Dodajmy do tego, że jest on też w całej swej gospodarczo-prawnej i społecznej działalności gorliwym do końca życia organizatorem i budowniczym polskiego zaplecza Bałtyku.**

**Są to wystarczające tytuły do tego, aby w osobie ostatniego z Piastów na tronie Polski widzieć postać o typie nowoczesnym i władcę, który w sposób znakomity wiąże naszą dzisiejszą rzeczywistość z tak odległą przeszłością.**

ANNA GAŁCZYŃSKA-FOLKIERSKA

# O moralności Conradowskiej

Coraz częściej w czasopismach literackich pojawiają się artykuły, będące wyrazem nowych prądów i nowej postawy: — wszystkie natury wybitnie dyskusyjnej. Między innymi „Twórczość" zamieściła w swym 2-im zeszycie interesującą pracę J. Kotta p. t. „O laickim tragizmie".

Jedną z wielu spraw w tej pracy poruszonych, to zagadnienie heroizmu, jego odpowiedzialności społecznej, oraz kwestia historycznej oceny czynu. Omawiając postawę tragiczną lub akceptacyjną człowieka i epoki na płaszczyźnie najszerszej, autor zgłębia ją na przykładzie postaci conradowskich.

„Świat Conrada — pisze on — jest światem rzeczywistym, światem jedynym, w którym całą odpowiedzialność za zło i za dobro ponieść musi człowiek". Bohaterowie Conrada, zmagają się z losem ślepym, bezlitosnym i zwycięskim, którego są „ofiarą i narzędziem". Tę wewnętrzną konieczność określa J. Kott mianem „laickiego tragizmu", w którym „świat wartości jest światem walki, światem wyboru — światem zdobywanym przez człowieka w stałym zagrożeniu porządku moralnego". Powtarza następnie za prof. Ujejskim, że postawa bohaterów Conrada, to „heroizm pesymistyczny".

Wyczerpawszy te sprawy od strony filozoficzno - artystycznej, Jan Kott przenosi je na grunt rzeczywistości, jako ewentualny „wzór życia", stwierdzając w konkluzji, że moralność conradowska jest odrzuceniem prawa do buntu „przez ślepe posłuszeństwo wielkim, armatorom tego świata". W heroizmie conradowskich postaci widzi J. Kott „brak społecznych usprawiedliwień czynu". Według niego rozwiązanie dramatu wewnętrznego przez „posłuszeństwo prawom zasadniczym", musi być mierzone swoją oceną w świecie rzeczywistym. Rozwiązania te opiera autor na postulacie, że „człowiek może świadomie tworzyć historię". Oceniając postawę moralną pyta za Monteskiuszem o „użyteczność tej postawy dla powszechności". Trzeba tu dodać, że zagadnienie: kto ma być uprawniony do osądu człowieka i jakie w ogólności winno być wartościowanie czynu, jego motywów i skutków, już od dłuższego czasu rozpatrują zarówno J. Kott, jak i J. Andrzejewski na łamach „Odrodzenia". Choć obaj są wyrazicielami poglądów odrębnych, godzą się jednak na konieczność kryteriów bezwzględnych, na odwieczny komunał: „po owocach ich poznacie je".

Niektóre z tych wypowiedzi, związane z twórczością conradowską, wywołały w społeczeństwie „obronę Conrada", która podnosi jego rolę jako wielkiego marynisty polskiego wśród Anglosasów, przypomina jego prace publicystyczne, związane z żywotną sprawą naszych granic morskich, podkreśla znaczenie Conrada jako głosiciela moralności zespołu, cech wierności i honoru. W tym duchu pisali ostatnio o Conradzie m. in. dr M. Michałowicz, jako też Jerzy Dziewicki i Janusz Stępowski w „Dzienniku Bałtyckim".

Chciałabym w tej interesującej dyskusji dorzucić kilka uwag w obronie moralności conradowskiej.

Sądzę, że cechą widzenia historycznego jest uwzględnienie czynnika czasu, cechą czynu heroicznego — jego natychmiastowość. Uznajemy powszechnie wewnętrzne przygotowanie w działaniu, ale uznajemy też obecność praw, które to przygotowanie warunkują. Prawa te są zarówno natury ekonomiczno - społecznej, jak też wiążą się z wszelkim poznaniem naukowym świata i człowieka.

Biorąc pod uwagę „współzależność i jak najściślejszą łączność wszystkich stron zjawisk" — jak mówi Engels w „Anti-Duehringu" — musimy przyznać, że nauka o człowieku w ogólności, nie tylko jako o istocie społecznej, jest daleko mniej rozwinięta od nauk ścisłych. Wojna ostatnia unaoczniła bankructwo wartości dotychczasowego poznania jako zbroi moralnej. Olśniewające odkrycia naukowe wykorzystuje człowiek w celach bynajmniej nie moralnych. Jako przykład krańcowy widzimy zwyrodnienie niemieckich „badaczy naukowych" w obozach kaźni.

J. Kott pisze: „heroizm jest zbyt kosztowną metodą wychowawczą, aby ją można było przyjąć bez zastrzeżeń; w społecznej ocenie heroizmu nie wolno nam pominąć wysokiej ceny, jaką trzeba zań płacić". — Sądzę, że w pewnych pojęciach należy wyodrębnić ich styl wewnętrzny, najgłębszą tendencję. Istnieje heroizm izolacyjny, z góry filozoficznie przyjęty, ograniczony pychą indywidualną. Wyrazicielem jego jest pogląd na świat, przedstawiony przez A. de Vigny w konkluzji „Śmierci wilka":

> „Jęczeć, modlić się, równie jest nikczemnem,
> Z mocą spełniaj zadanie ciężkie, długie, ciemne
> Na drodze, gdzie postawił ciebie los surowy:
> Potem żyj i umieraj tak jak ja — bez mowy".

Conrad nie narzuca swym postaciom linii filozoficznej. Każe im tylko umieć te linie odnaleźć w zagęszczających się niekiedy ciemnościach zbiorowego, pulsującego życia.

J. Kott stwierdza, że „ani wierność, ani honor nie są same dla siebie wartościami moralnymi" — osądza je bowiem historia. Lecz należy zauważyć, że historia wg. teorii materializmu dialektycznego, na której opiera się autor „laickiego tragizmu", wymaga przygotowania i dojrzałości określonej epoki, by „ilość" swych doświadczeń mogła ona przemienić w „jakość" kolejną, objawić swój postęp.

Narzędziem i twórcą historii jest człowiek. A honor i wierność mają swoje pokrycie wewnętrzne w charakterze, są dźwignią dla jednostki i zespołu. Istnienie tych prostych pojęć, choćby budowały one jedynie świat wewnętrzny i ocalały dla jednostki sens trwania we wszechświecie, jest jedną z nadwartości społecznych, których odrzucić niesposób.

Pożytek ogólny, podobnie jak doznanie artystyczne, dziwne w istocie obiera drogi. Łatwiej jest zmienić skład „wielkich armatorów tego świata", niż wpoić w człowieka wierność samemu sobie, ocalić go z tragizmu. Świat jest okaleczały. Można i trzeba go uzdrowić. **Ale odrzucenie etyki instyktownej, już bez względu na jej celowość**, jest środkiem niebezpiecznym. Dowodem zaniku instynktu osobistego było choćby powstanie teorii rasizmu i jej moralne konsekwencje. Dowodem braku etycznej dyscypliny podstawowej — zatracenie równowagi narodów i jednostek. Spojrzenie historyczne, sankcja społeczna przygotowuje czyn i osądza go. Ale moment decydujący otacza człowieka samotnością i ogranicza przez swą natychmiastowość. Dlatego sądzę, że heroizm conradowski nie jest aspołeczny: wychowując człowieka w wartościach, które uznaje za trwałe, umożliwia mu godne obsadzenie roli w historii, w ewolucji porządku społecznego.

Niesłusznie J. Kott określa conradowską wierność samemu sobie jako „odrzucenie prawa do buntu". Pojęcie to jest trudne i wielostronne. Moralność zawodowa może być heroizmem głupoty. Lecz wątpię, czy lepsze jest „morale", oparte na wrażeniu chwili. Conrad uznaje hierarchię wartości, odrzucanie jednych dla drugich, co jest właśnie jednym z czynników buntu. Wystarczy przypomnieć tu dla przykładu z jego dzieł: „U kresu sił" czy „Freję z wysp". Zgoda **ze światem** nie jest jednoznaczna ze zgodą **na świat.**

Wyrazili to już w postaciach swych wielkich buntowników Cervantes, Goethe, Kasprowicz. A **wszelka walka o swoją treść wewnętrzną, o świat wywalczany przez siebie, jest może jednym z buntów społecznie najpożyteczniejszych.**

JÓZEF CZECHOWICZ

## Pamięci zniknionego

Gdzie czerwona kalina
styka się z niebem słodko
szumiąca wiotko
jest jasno

u kaliny zamyślona dziewczyna
jak piękna
niewiele takich w życiu spotkań
spojrzeć w zachwycie zasnąć

morze morze morze

okręt orzeł
ciemność białą mętną stojącą
łańcuch mocnem sprężeniem trąca
w tej kopule zwróconej w dół
wielkiej jak nicość
łańcuch drży ogniwa idą wzwyż
ostre szpony drą piach i muł dna
wyrywa się z mroku żelazny masywny krzyż
i prąc przez głębię gra
kotwica

morze morze morze

między liny jak deszcze ukośne
wplątał się wiatru proporzec
trzepoce ostro i głośno
ku zorzy

morze morze morze

wysp bukiety różowe granatowe
w słonej burzy jak pięści się trzęsły
głos daleki szybkim biegał krokiem
przez obszary jasne i szerokie
sztywnem jakby przerzucając się przęsłem
głos daleki tulił się nam do głowy
nie wiedział drżał powtarzał

morze morze morze

w wichrze wyspach kotwicy burzy
szukał głos duży
orła Conrada żeglarza.

JAN DOBRACZYŃSKI

# WINA I MORZE

Chyba nigdy nie był Conrad tak wiele czytany jak podczas wojny. Pamiętam, zaraz po zajęciu Warszawy przez Niemców, zaszedłszy do Biblioteki Polskiej zobaczyłem ogromne sterty tomów — wszystkie powieści Conrada. Ale już na parę miesięcy przed powstaniem rzadkością była książka Conrada. Sama Biblioteka Polska (wydawca!) poszukiwała niektórych tomów.

Jeżeli Conrad był z takim zainteresowaniem czytany, to prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie było w Polsce lepszej atmosfery do czytania tego niełatwego niewątpliwie autora. W normalnych czasach ciężka, conradowska proza, wyrażająca tak bardzo ludzką próbę walki z bezwzględnością władzy losu, nie znajdowała życzliwych czytelników. Wielkość Conrada była i jest u nas wielkością uznaną. Ale to mało. Conrad nie był nigdy u nas, w gruncie rzeczy, lubiany, jak nie są lubiane tragedie greckie. Typem najulubieńszym naszej twórczości literackiej jest albo epopea w duchu pogodnym („Pan Tadeusz" — „Trylogia" — powieści Z. Kossak) albo liryka subiektywna (Żeromski). Dzieł Conrada do żadnego z tych typów zaliczyć nie można. I może poza jedynym „Faraonem" Prusa nie ma w literaturze polskiej utworów o cechach równie opanowanej klasycznej tragiczności, co opowieści Conrada.

Wczytując się w okresie niewoli w jedną z kilku książek, które się do nas dostały — w „Lorda Jima", ofiarowanego nam, jeńcom polskim, przez francuskich przyjaciół — odnalazłem, jak mi się zdaje, klucz zagadki całej twórczości Conrada. Odejście Conrada z pokładu „Patny" — Ojczyzny stało się dla wrażliwego artysty tragedią życia. Pisarz nie mógł pojąć, że można zdradzić rzecz najświętszą — i zostać z przewiny rozgrzeszonym. Z uporem właściwym naturom nadmiernie dumnym wierzył, iż są zbrodnie — a zbrodnia „Tuana Jima" wydawała mu się właśnie taką zbrodnią — zbrodnie, których nic nie usprawiedliwia ale i którym nic zapobiec nie może. Coś niby owo zabójstwo Lajosa „syna Labdaka, wnuka Polidora, któremu Kadmos i Agenor przodkiem"... — zbrodnia o motywach fatalistycznych. Wypowiadając bez końca swoją winę, polski Raskolnikow coraz mocniej nabierał przekonania, że inaczej nie mogło się było stać.

Zbyt upraszcza sprawę J. Kott w swym studium w „Twórczości", gdyż uważa, że Conrad uchyla się od szukania odpowiednio silnego, — a więc społecznego, — kryterium i uważa ratowanie własnej wielkości jednostki za najwyższy wyraz postawy moralnej. Pozornie tak jest — i opowieściom Conrada zdaje się przyświecać peergyntowskie hasło „wierności samemu sobie". Ale za tą „wiernością sobie" jest coś więcej. Zaryzykowałbym niemal twierdzenie: coś jakby zarys religii. Tylko—i tu się nie zgadzam z Gołubiewem, który pisze o tym w „Dziś i Jutro" — to nie jest kształt chrześcijaństwa z jego wyłączną tragicznością grzechu niespełnionego obowiązku. Niestety — a jako katolik nie mogę inaczej powiedzieć — u Conrada świat istnień ludzkich jest zawsze tragiczny. Tragiczna jest Lena, bo jej śmierć jest jedynym wyjściem z beznadziejnego położenia. Tragiczny jest Jim i to nie wtedy, gdy ucieka z „Patny", ale wtedy, gdy uchyla się od walki z najeźdźcami.

Ludzie u Conrada nie tylko nie mogą przezwyciężyć swego losu. Oni walczą z losem w ogóle. Uważanie bowiem conradowskich bohaterów — tych plantatorów czy kapitanów — za tylko plantatorów i kapitanów, byłoby grubym nieporozumieniem.

W „Rzeczpospolitej" ukazuje nam Platon obraz ludzi, przykutych do ściany w ciemnej jaskini. Przed nimi za zasłoną skały, po oświetlonej ścieżce idą inni ludzie, niosąc rozmaite przedmioty. Tych ludzi przykuci nie widzą, ale widzą ich drżące, fantastyczne cienie, poruszające się na oświetlonej ścianie. I z tych cieni budują sobie obraz prawdy, tej prawdy, której w jej rzeczywistym kształcie ujrzeć nie potrafią.

U Conrada jest także coś w tym rodzaju. Jego ludzie nie widzą Prawdy, choć Ona zstąpiła na ziemię. Poznali natomiast swe rozpaczliwe położenie i widzą cienie... Jednym z tych cieni u Conrada jest np. tak często poruszany miraż honoru.

Jak się dokonał u autora „Szaleństwa Almayera" ten zwrot ku czekającej starożytności, o tym trudno jest może tutaj mówić. To pewne, że oskarżanie pisarza o brak kryterium społecznego jest niesłuszne, gdy się uświadomi sobie, iż problematyka społeczna — podkreślam: zdrowa problematyka — może się pojawić dopiero na tle określenia swego stanowiska wobec zjawisk nas otaczających, a na to określenie Conrad nie zdobył się przez całe swoje życie. Był jak bohater „W oczach zachodu", dla którego zniknęło wszystko: rewolucja, ambicja, nawet miłość wobec nierozwikłanego konfliktu własnego serca.

Ale to „odchrześcijanienie" się Conrada, to próżne szukanie sensu własnego ja, ten powrót do punktu, z którego ludzkość naszego cywilizacyjnego kręgu wyruszyła przed 2000 lat, znajduje swe częściowe zrównoważenie w zetknięciu z morzem. Chyba nigdzie Conrad nie zdradza tak wyraźnie swego nieangielskiego pochodzenia, jak tam, gdzie przychodzi mu patrzeć na morze i mówić o morzu. Dla Kiplinga egzotyka dalekiego Wschodu zaczyna się dopiero na brzegu indyjskim. Dla Londona morze jest takim samym żywiołem, jak każdy inny: często groźnym, lecz zawsze dającym się przezwyciężyć i zawsze nęcącym pokusą zwyciężania. Conrad patrzy na morze szeroko otwartymi oczyma, bo jest ono dla niego tajemnicą już od chwili, gdy czarny parowiec wpływa w ujście Tamizy. Bohaterowie Conrada, nawet żyjąc na lądzie, nie przestają żyć pamięcią morza. Taki „Korsarz" choćby. Morze fascynuje pisarza. Nikt bardziej niż on — chyba Whitman lub Swinburne — nie potrafi oddać nastrojów morza: godzin ciszy, powiewów wiatru, ryku sztormu, łoskotu tajfunu. Morze jest czymś co żyje w opowieściach Conrada. Zresztą pisarz daleki jest od jakichkolwiek antropomorfizmów: jeżeli mówię, że u Conrada morze żyje, to dlatego, iż wydaje się mieć swoje własne życie: życie otchłannej potęgi. Synowie słońca na morzach południowych walczą z morzem. U Conrada człowiek nie śmie walczyć z morzem — on natomiast walczy z jego tajemnicą. Istnieje bowiem tajemniczy związek pomiędzy potęgą oceanu a życiem ludzkim — takiego Jamesa Waita z załogi „Narcyza", lub między szaleństwem wodnego żywiołu a nieporównaną bierniością i życiowym prymitywem Mac Whirrów.

Morze u Conrada jest żyjącym żywiołem, a jednocześnie także ma w sobie coś z symbolu — z symbolu przestrzeni. Ci anglo-holenderscy koloniści, których życie z takim upodobaniem opisuje, tęsknią nieustannie do swego „sweety home". Lecz w tym jest także coś nieangielskiego, że gdy wracający statek wjeżdża w szeroką gardziel Tamizy, pisarz wybucha patetycznie — nieszczerą apostrofą na cześć Anglii. Sztuczny ton u tak bardzo naturalnie mówiącego zwykle pisarza. Morze jest dalą, którą chciałby człowiek przezwyciężyć. Ale „sweety home" nie jest domem...

Do domu płynie się przez morza dalekie. I wciąż za mało będzie rejsów, by dobić do upragnionego portu. Lecz za to w dłużyźnie morskich szlaków zawiera się wybawienie. Bo jeśli pisarz zagubił się na bezdrożu dróg życia tak bardzo, że aż utracił sens i prawdę własnej istoty, to odnaleźć ją potrafi jedynie w wędrówce przez morza. Góry i morza mają w sobie właściwość kształtowania duszy ludzkiej. Ku morzu więc lub ku górom śpieszy zawsze człowiek, który chce odnaleźć siebie. Z Jermakiem kroczy przez nieskończone stepy Azji, z Piotrem wybija „okno" na bagnistym wybrzeżu, „piratuje" z Drake'm i Raleighem. Z Whymperem pnie się na Matternhorn...

Tragedia Conrada znajduje swoją „katharsis" na falach oceanu. Nie będzie rejsu, który się zakończy na redzie gdańskiej, gdyńskiej czy szczecińskiej. Jeszcze Smętek-Schoenberg szczerzy zęby w łotrowskim uśmiechu, ten Schoenberg w całym rozkwicie swego cynizmu, tchórzostwa i zbrodniczości, w jakim go mogły ujrzeć oczy tylko umiejącego patrzeć — Polaka. Ale na fosforyzującej, rozchybotanej powierzchni odnajdzie Conrad swoją drogę powrotu. Wrócić nie chciał. Surowo siebie sądził i osądził. Mimo to szedł ciągle, wędrując bez końca: Aden, Singapore, Port Darwin... A gdy sił do wędrówki zabrakło, powrócił na morze — pisząc o nim. Zrealizował aż do końca tragedię grecką, a zaznawszy bezradności czekania na niepodobne, odkrył, że tylko idąc — ciężko, w zmaganiu się i w walce — naprzeciw tego, co mogło nadejść — zdobywa się możność doczekania. Płynąc — wrócił do domu — książką...

Dopłynął na czas. Potrzebowaliśmy go bardzo. Nie dlatego, że w nas wszystkich miała się rozegrać do końca tragedia grecka, ale dlatego, że w obliczu niebywałych przeżyć, jakich nam dane było doświadczać, traciliśmy nieraz aż zrozumienie dla własnego ja... Wtedy wypływaliśmy z Conradem na morza dalekie. I żeglując z nim — wbrew sceptycyzmowi starego wygi—spotykaliśmy płynącą nam naprzeciw pomoc.

Ta góra tomów książek Conrada, która znikła — to jest właśnie wyraz odwiecznego problemu — cegiełka w fundamencie trwania. Po raz pierwszy zaczęliśmy cenić i lubić Conrada. Bo w te szare dni najżałośniejszej z walk — walki podziemnej — i w te niespokojne noce bezsiły i lęku — zrozumieliśmy, że trzeba jednak płynąć naprzód. Jak ten tępy, lecz bohaterski Mac Whirr. Naprzód! Zawsze naprzód! Mimo wszystko! W płynięciu bowiem naprzód jest — ocalenie.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

## Morze

*Nie Danzig! Znowu Gdańsk prastary.*
*Huk salw! Nasz sztandar nad murami!*
*Tu Polska brała się za bary*
*Z ojczystym morzem przed wiekami.*
*Stąd na okrętach nasze zboże*
*Pod krzykiem mew szło w dal zamorską*
*I polskie lasy szły za morze*
*Ze starodawną mową polską.*

*I szafa gdańska piękna była,*
*Jak organowe górne śpiewy,*
*Bo dłoń stolarza skojarzyła*
*W niej bieg okrętu z lotem mewy.*
*Tu kwitnął handel i rzemiosło,*
*Skrzydłem żaglowym uskrzydlone,*
*Swe doskonałe plony niosło*
*W zamorską dal po fali słonej.*

*I nieraz morze modro-sine,*
*Posłuszne statków lotnych biegom,*
*Nam przynosiło tu łacinę*
*Wergila, albo Horacego.*
*W przekładach polskich brzmiała ona*
*Rytmami Romie wydartemi,*
*Jak wolność morza przełożona*
*Na wolność naszej ziemi.*

Uzbekistan. Fergana 4. 5. 1945 r.

MIECZYSŁAW ZYDLER

# WŚRÓD TWARDYCH LUDZI

Poza dziką nieco, inną niż w głębi kraju, północną przyrodą Wybrzeża pociągała mnie zawsze jego ludność. Wyniesione przez letników z krótkiego sezonowego pobytu nad Bałtykiem, utrwaliły się o Kaszubach sądy bałamutne, często krzywdzące, zawsze zaś nieścisłe i chaotyczne. Do takich sądów, powtarzanych również w literaturze, należy między innymi mniemanie o mrukliwym, powolnym i posępnym usposobieniu Kaszubów oraz ich obojętności na wszystko, co nie dotyczy sieci, ryb i własnej ich chaty.

Jest to pogląd fałszywy.

Powolność i mrukliwość nie są bynajmniej nieodłącznymi cechami, właściwymi rdzennej ludności Wybrzeża, która w odróżnieniu od innych etnicznie grup Kaszubów nosi nazwę „Rybaków", niezależnie od tego, czy w rzeczywistości trudni się rybołówstwem, czy też rolnictwem.

Jest to tylko pewna maska, za którą kryje się nieufność i onieśmielenie wobec obcego. U Kaszubów nieufność ta trwa, być może, dłużej i trudniejsza jest do zwalczenia niż u chłopów jakiejkolwiek innej okolicy Rzeczypospolitej. Nawet na pewno tak jest. Stąd też dłużej trwa ich pozorna mrukliwość. Ale wielkim błędem byłoby uważać to za jakąś specjalną cechę, właściwą Kaszubom - Rybakom.

Jest wręcz przeciwnie. Poznawszy ich bliżej, stopiwszy lody nieufności, tak zresztą swoistej całemu ludowi, swoje usprawiedliwienie mającej w pańszczyźnianej przeszłości, przekonamy się, że Kaszubi-Rybacy mają z natury usposobienie raczej żywe, wyrażające się skłonnością do śmiechu i żartów. Powolni zaś są wśród nich tylko ci, którym sędziwy wiek ostudził już krew i osłabił mięsień sercowy, zmuszając tym samym do zwolnienia tempa życia. Ale nawet wśród tych najstarszych — filuterny, pełen ognia błysk w oku zdradza wrodzone upodobanie do żartów, chociaż przygaszone wiekiem i jego dolegliwościami.

Żywe usposobienie może się również wyrażać skłonnością do kłótni. Jakoż przy uważniejszym wejrzeniu w miejscowe stosunki można przekonać się, że bogobojna, zgodna z pozoru ludność każdej najmniejszej nawet wioski jest w istocie podzielona na kilka niechętnych sobie obozów.

Na ludność naszej, kilkaset głów liczącej wsi, składa się zaledwie kilka rodów, kilka nazwisk, których przedstawiciele dla odróżnienia się — zostali ponumerowani. Ale Ksawer Kąkol nr II nie rozmawia od lat z Ksawrem Kąkolem nr IV, Agnieszka Ceynowina zaś nie przebaczy zapewne nawet na łożu śmierci Łucji „Holenderce" owego fajansowego półmiska, o który powstał przed laty zatarg pomiędzy nimi.

Kiedy jednak zgodnymi, zmechanizowanymi ruchami spychają rybacy swoje ciężkie łodzie z piasku na wodę, kiedy równym szeregiem płyną po morzu, kiedy rozumiejąc się bez słowa, obrzędowym gestem zarzucają sieci, przedstawiają obraz zorganizowanego ładu i wzajemnej życzliwości. Bez tej solidarności w swoim rzemiośle, wymagającym wysiłku gromadnego, nie mogliby go w ogóle uprawiać.

Pod tym narzuconym przez życie ładem nurtują namiętności, o które beztroski letnik nigdy nie posądziłby, zamkniętego w sobie Kaszubę. Niech jednak wraz z końcem sierpnia opuszczą Wybrzeże tłumy przybyszów, niech z ciasnych uliczek osiedli znikną jaskrawe stroje roznegliżowanych niewiast, niech zniknie wreszcie ostatni letnik, domagający się na obiad uprzykrzonych flądrer — wówczas Kaszuba wyzbywa się właściwej sobie rzekomo „powolności" i „mrukliwości". We wsi rozbrzmiewa wtedy aż nadto często jazgot kobiecy, hałaśliwy i monotonny, jak odgłos kijanek piorących bieliznę, kłótliwy jazgot, często wspomagany przez wzburzony męski baryton. I nie ma to znaczenia, że przedmiot tych sporów może nam wydać się błahy i naiwny. Na pewno nie jest takim dla stron zainteresowanych.

Niemniej, pomimo niewątpliwej skłonności do jałowego podtrzymywania sąsiedzkich nieporozumień, ludność ta zdradza **silny instynkt społeczny.** Zrodził się on —jak wspomniałem—z zasadniczego zajęcia — rybołówstwa, które wymaga wspólnego wysiłku, czy będzie nim spychanie łodzi na morze, czy też ciągnięcie niewodu ze szprotami.

Istniejące poczucie wspólnoty rybackiej potrzebowało już tylko słabych bodźców z zewnątrz, aby rozwinąć się w świadomość przynależności do jednej wielkiej społeczności, do jednego narodu. Ożyły węzły wspólnej krwi, łączące jedną wiarą, jednymi obyczajami i jedną mową cały nasz naród, od śniegami pokrytych Tatr po siną, omgloną smugę Bałtyku.

Wieś kaszubska zaczęła żywo interesować się przybyszami z głębi kraju, z którymi po pierwszej wojnie światowej znalazła się w jednym domostwie—Ojczyźnie.

Sprawami Państwa przed wojną i teraz jego przebudową żywo interesowali się Kaszubi i nie masz nic bardziej mylnego niż sąd o ich obojętności na losy Narodu. W ogóle bliższe, bezpośrednie zżycie się z tą ludnością zmusza do odrzucenia wielu utartych o niej sądów i do wysnucia nowych wniosków, które dla niejednego okazałyby się rewelacyjnymi.

W każdym razie, aby móc o tych surowych, twardych, pierwotnych ludziach mówić i pisać z poczuciem odpowiedzialności za swoje słowa, trzeba ich naprawdę — poznać. I nie wiem już teraz, czy to sprawiła chęć stałego obcowania z odmienną przyrodą kaszubskiego brzegu i oddychania jak najdłużej jego lekkim powietrzem, czy też bliższego poznania ludzi, którzy mnie zawsze pociągali, dość że wzgardziłem argumentami swoich przyjaciół i zostałem nad morzem.

Zima jest tu ciężka do przetrwania, to prawda. Przed jej melancholią obronił mnie jednak ołówek i gruby zeszyt. Odrywam teraz wzrok od jego kartek, szeleszczących na wietrze i posyłam go ku linii widnokręgu, czystej dzisiaj i wyraźnej jak ostrze miecza.

Morze powoli się uspokaja. Białe barany gonią się po nim. Trzymasztowy szkuner walczy ciężko z falą. Powietrze jest przejrzyste, lekkie, pachnące jodem i ozonem.

Nie, nie żałuję, że tu pozostałem.

FRANCISZEK SĘDZICKI

## *Nasza mowa*

Le sę weszczerzejta z naszy prosty mowe,
że twardo, zamało fejno i uczono —
że ni mo dosc dzwięku, szekowny budowe
i cuzym werazem mocno poszczerbiono.

A mowa ta — prosto — przetrwała już wieci,
i dobry i ciężci czase, rząde — rode.
I odgłos wspomino dzejów het — dalei,
niejedne już w gruzach rozsepany grode.

Tu stała na straże jak wierny bojownik —
u granic zachodnych. — Nie dzyw, że mo blizne!
Nie mniała też czasu, ukłodoc so słownik,
bo poswięcała sę wcąg dlo Ojczyzne.

A jak morsci fale, tak zalew germansci
na nią wcąg nacerol z wschodu i zachodu,
ni schronic sę mogła na dwór możny, pańsci,
ni szukac opieci posród murów grodu.

Stąd nie dzyw, że blizne mo, rane i szczerbe,
jak brzeg nasz nadmorsci, jak żołnierz polowy.
Ale to ji chwała, odznaka i herbe,
bo tacich nie nosy panek salonowy.

Ta nasza też mowa, choc tak prosto, twardo,
z przerodą sę naszą, z cężką dolą zrosła.
I prostą oznaczo duszę naszą hardą,
co nam już zwycęstwo nad wrodziem przeniosła.

I stąd nąm je swiętą, kochaną i mniłą,
bo powie: co ceszy, abo boli serce.
I z mową legniemе tą też pod modziłą,
choc ona tak bardzo, bardzo w poniewierce.

Bo w mowie tyj lasów i szum morsci fali
i klekot bocani, muzeka kos, pługa,
i odzew orężny chwil sławe z oddali —
I ta nieprzestanno nad nami szaruga.

WITOLD KISZKIS

# Kaszubi na torze dziejowym

Na tak zw. „problem kaszubski" składały się właściwie jedynie nieporozumienia i zakorzenione u nas, niestety, antagonizmy na podłożu dzielnicowym. Istniały one przed 1939 rokiem, pogłębiły je dzieje okupacji niemieckiej. Zapamiętano dobrze sympatie, okazywane wkraczającym Niemcom przez zgermanizowaną część mieszczaństwa kaszubskiego, obliczono, że około 80 proc. blisko dwustotysięcznej ludności kaszubskiej przyjęło III grupę niemiecką. Polacy, którzy tu, na Wybrzeżu, oparli się eingedeutschowaniu, lub później na te tereny przybyli, chcieliby się uważać za coś lepszego od Kaszubów, żądając dla siebie innej miary traktowania. Stąd powstały zadrażnienia i rozmaite sugestie. Pomawiano np. Kaszubów o tendencje separatystyczne. Jędrna, świeża, archaiczna mowa kaszubska, o której pisał znany pisarz i działacz kaszubski, Aleksander Majkowski, że kształtowała się na graniu fal Bałtyku i szumie lasów naszych, drażniła nieosłuchanego przybysza z głębi Polski, wywołując mniemanie, że jest niczym innym, jak obrzydliwym niemieckim skażeniem polszczyzny. Dezorientowały ponadto opinię polską tarcia na tle osobistym wśród działaczy kaszubskich.

Z okazji kongresu kaszubskiego, który się odbył w Wejherowie w dniach 12 i 13 stycznia, te wszystkie bolączki były odważnie poruszone. Wyjaśniło się wiele. Przy tej okazji np. do świadomości społeczeństwa polskiego dotarły fragmenty z dziejów przeszłości — dawnej i bardzo niedawnej. Mit o separatyzmie Kaszubów został mocno podważony. Przypomniano sobie, że Kaszubi byli obrońcami polskości Wybrzeża na przestrzeni długich stuleci, że od dawna stanowili zaporę w niemieckim „Drang nach Osten". Pełniąc tę misję złożyli obfite ofiary. Żadna z kampanji antypolskich, podejmowana przez władze b. zaboru pruskiego, nie ominęła Kaszub.

Oczywiście, procent elementu zgermanizowanego był tu wyższy, niż w innych częściach kraju. Ale trzeba pamiętać, że oprócz wiekowej okupacji pruskiej, działały tutaj wpływy niezmiernie aktywnego przedwojennego Gdańska. Obecnie społeczeństwo polskie eliminuje ten element, tak samo zresztą, jak w reszcie kraju. Nawet jedna z rezolucji kongresu poświęcona jest metodom karania zdrajców Narodu Polskiego.

Ale masa kaszubska była i pozostała polską. Stosunkowo duży procent wpisania się do trzeciej grupy tłumaczy się ostrymi presjami, stosowanymi przez okupanta na tych terenach w latach 1941—42. Ludność kaszubska nie poddawała się bez oporu. Polskość tego ludu i tych ziem dokumentowano biernie i czynnie — krwią kaszubską i mękami w obozach. W Stutthofie stanowili Kaszubi około $1/3$ więźniów, jak również w specjalnym obozie w Potulicach i innych. Masowo wysyłano Kaszubów na ciężkie roboty na pogranicze Belgii i Holandii. Majkowski w roku 1905 w „Gazecie Gdańskiej" wołał: „Wy, Kaszubi, nie jesteście najgorszym wśród szczepów, składających się na wielki naród polski. Wasza polskość tyle warta, co polskość Wielkopolan, Mazurów, Ślązaków. Wasza mowa kaszubska, którą Bóg wam w usta włożył, jest, jak każda inna, miłości i uszanowania godna". Te prawdy kongres przypomniał Polakom z głębi kraju i miejscowym Kaszubom. Przeszłość obowiązuje.

Szczególną wagę kongresu i jego osiągnięć podkreśliły enuncjacje najwyższych czynników państwowych. Ob. Gniech, który jeździł do Warszawy jako delegat Kaszubów, przywiózł zapewnienie Prezydenta Bieruta, że szanuje on lud kaszubski, który przez 150 lat okupacji utrzymał język i tradycje. Prezydent oznajmił, że w razie potrzeby Kaszubi znajdą opiekę i pomoc, bo udowodnili, że są Polakami. Mówca zakończył swą relację z posłuchania u Prezydenta słowami: „Nie wolno nikomu nazywać nas Niemcami".

Bezpośrednio w imieniu Rządu przemawiał do Kaszubów obecny na kongresie minister Informacji i Propagandy Matuszewski, mówiąc m. in.:

„Od wieków pełnicie straż nad polskim morzem i całą siłą trwacie przy swoich starych obyczajach, przy swojej odwiecznej tradycji, przy swoim języku — przy Polsce. Nie poddaliście się germańskiemu zaborcy. Nie poddaliście się również wtedy, gdy wróg germański usiłował Was podejść chytrymi obietnicami, kiedy usiłował wykopać przepaść między wami a Polską. Całą swoją postawą wykazaliście, że jesteście nieodłączną częścią narodu polskiego, jego awangardą na morzu. Dzięki Wam Wybrzeże nasze zachowało swoje stare, odwieczne oblicze i wrócić może do Macierzy jako jej nieodłączna część".

Prezes gdańskiej Wojewódzkiej R. N. ob. Wierzbicki apelował do Kaszubów:

„Życzę wam, byście zachowali hart ducha, jaki okazaliście dotąd i spotęgowali siły do pracy. Nie wolno wam stać na uboczu"!

Z drugiej strony — przemówienia i enuncjacje przedstawicieli społeczeństwa kaszubskiego nacechowane były również powagą i zrozumieniem sytuacji. Rezolucja zjazdu, przesłana do Prezydenta Bieruta i Premiera Osóbki-Morawskiego zapewnia, że Kaszubi, zawsze pilnie pełnić będą straż nad morzem oraz pielęgnować wartości rodzime dla pomnożenia polskiej kultury narodowej, oraz dobra ludu kaszubskiego i Polski demokratycznej.

Ta deklaracja Kaszubów, sądzić należy, nie pozostanie tylko frazesem. Oczekujemy czynów. Drogę wytyczono dobrze. Oto niektóre uchwały kongresu:

„Kongres pamięta o zniemczonych Kaszubach ziemi gdańskiej, lęborsko-słupskiej, bytowskiej. Kongres ich uznaje za swoich braci i prosi Rząd Rzeczypospolitej, by oddzielił ich z rodzinami od właściwych Niemców na zasadzie pochodzenia i umożliwił powrót do polskości wszystkim tym, którzy się wobec narodu polskiego nie dopuścili wrogich czynów".

„Kongres wyraża najgłębsze przekonanie, że repolonizacja zniemczonych Słowian Pomorza Szczecińskiego i Śląska jest możliwa. Odnośny program winien być opracowany przez zespół fachowców z dziedziny historii, kultury tych ziem, oraz znawców psychiki zgermanizowanych Słowian".

Uchwały te są słuszne i głębokie, świadczą o trosce o dobro ogólne. Sądzimy, że te same cechy będzie posiadała również działalność organizacyj i społeczeństwa kaszubskiego.

Reasumując, stwierdzić należy, że kongres był potrzebny i spełnił pozytywną rolę. Wyjaśnił szereg nieporozumień, rozładował urazy i stał się bodźcem dla biernej dotąd rzeszy kaszubskiej do udziału w pracach nad odbudową i rozbudową odzyskanej wolnej Ojczyzny.

NINA RYDZEWSKA

# Wesele kaszubskie

Zaraz po godach odbyło się zdewańje.

Ściany w izbach i sieni wymalowano na niebiesko. Odświeżono szelbiągi [1]), ławy, zydle i stoły tak, że wszystko aż błyszczało. Podłogę posypano bielutkim piaskiem z „babiej górki" i zielonym igliwiem.

Wszyto w suknię ślubną Weroniki kariander, w prawy trzewik włożono pieniądz, a do kieszeni męski zegarek — jak każe „nasz kaszebski ustow", aby uchronić ją od czarów. Dorota pouczyła wnuczkę, aby przy wychodzeniu z kościoła nie dała się pociągnąć przez Pjotra w lewą stronę.

— Ty mdzesz bukse nosyła, a nie Pjoter. — Musi więc Weronika uważać i trzymać się strony prawej, jeżeli chce być w domu pierwszą.

Weronika wyglądała nad wyraz pięknie w uroczystych szatkach, toteż niejedna białka aż klasnęła w ręce z podziwu na jej widok:

— Ale jes ty pjękno, Weronika!

— Ale dijanka [2])!

Modra, szeroka spódnica, obszyta u dołu czarną, błyszczącą wstążką. Żółta sznurówka lamowana czarną taśmą. Na szyi — różnokolorowe szklane paciorki. Na ciemnych włosach wianek mirtowy, przystrojony czerwonymi wstążkami. Wszystkie drużbionki biegały za tym wiankiem, wydzierając go sobie z rąk. Każda chciałaby go brutce [3]), na głowę włożyć, aby w tym roku jeszcze wydać się za mąż.

Toż to dopiero strój! Piotrowe spojrzenie biegało za brutką jak urzeczone. Oczu nie mógł jej widokiem nasycić.

— Dorota przepasała Weronikę chmielem, „aby ją Pon Bóg z dzecamy błogosławjił". Gdy przestępowała próg — rzucono jej zapalony kariander pod nogi. Podsadzając brutkę na wóz, którym miała jechać do kościoła, zaśpiewano:

> Sadej teroz, sadej, Weronko kochana,
> Nick ce nie pomoże twoje płakanie.
> Bjołe kunie wystrojone
> Są już z wozę zajechane
> Przed dwjerzami...

Nie zapomniano też włożyć koników pod szle gałązki święconego toruńtu i okrążyć kościołka oksywskiego trzy razy.

Po powrocie ze zdewańja goście skwapliwie zabrali się do jedzenia. Była i skopowina na gorąco i pieczone sztajnbuty i gęsty ryż i nodzi klosczi i kuch. W pewnym momencie krzyknął ktoś:

— Cieliście na stół! — zjawiła się więc i gorzałka.

— Na zdrowje młode pore!

— Na zdrowje, na zdrowje!

— Chceme jesz jednego golnąc!

— Wepijma jesz roz! Na zdrowje młode pore!

— Na zdrowje! Wiesele roz, a bieda jaż do smirce!

Pjotrowi od gorzałki i wielkiego, rozsadzającego piersi kochania, błyszczały oczy jak pujce [4]) nocą. Tomasz upił się szybko, zawsze miał słabą głowę. Kiwał się nad stołem jak chińczyk i gorzałkę po sobie rozlewał. Weronika przyjrzała mu się uważnie i roześmiała się:

— Ale wuja! Mje sę zdaje, ty jes upjity!

— A ceżbe to było, żeby nasz Tomosz leżił roz pod stołę? — rzekł wyrozumiale Barnaba.

— No jo, jo — przytaknięto ogólnie z głośnym śmiechem.

Tylko Franceszk nie brał udziału w tej wesołości. Z żalem spoglądał to na ojca, to na swoją białkę Bareszkę i wzdychał ciężko, porównując ją z młynarzówną. Gdyby to on tu, na miejscu Pjotra, a u jego boku ta, bardziej do anioła niż do białki podobna, Annulinka... Nie smakowało mu ani jadło, ani picie. Pełen był niedobrych, trujących duszę uczuć i psuł tylko radosny nastrój swą kwaśną miną. Ach, ten fernoga [5]), ten gonidiobeł Franceszk!

— No, a teroz, ciej sę wszetce najedle, dole do tuńca! — krzyknął drużbownik.

Usunięto ławy i stoły, i dalejże w tany! Muzykanci zaczęli rżnąć smykami po basach i skrzypjicach aż trzeszczało, aż szkło w oknach dzwoniło, a na półkach podskakiwały kumki [6]), i talerze malowane w serca, róże i tulipany.

— Niech cało parafio sę dowje, że tu dzys wiesele!

Drużbownik stanął przed przidankami [7]) i zaśpiewał:

> Czorne bote do robote,
> Czerżwjone do tuńca.
> Chtóre dzewcze njimo wjinca,
> Nie pódze do tuńca.

A przidanki, kołysząc biodrami i wskazując na swoje wianki uplecione z białych kwiatów, przystrojone kolorowymi wstęgami, zwisającymi po kolana — w odpowiedzi:

> A me wszetcie mome wjince
> E bote czerżwjone.
> A na palcach jesz piestrzince,
> Pudzeme do tuńca.

Nawet starkowie poszli w tany. Ba, nawet puklowati Aloszk, chociaż garb i jemu i innym mocno wadził. Pył unosił się z podłogi, deski trzeszczały, powietrze gęste od dymu cięły okrzyki:

— Juch, czuch, czuch!

— Jo, jo. Weronika mo dzys barzo pjękne wiesele!

Podano piwo, a drużbownik znowu wystąpił w środek koła i potrząsając ciężkim kuflem. głosem jemnym [8]) zaśpiewał:

— Pij piwko nie wodę, kochej dzewczę nie gdowę! — a wszyscy na to: — Wjiwat! Wjiwat! Muzikence grac, abo pjiniądze nazed!

I znowu w tany. Starkowie, zmęczeni już zabawą, kurząc fefki, siedzieli pod ścianami i utyskiwali:

— Jo, jo. Do tuńca nima kuńca, a do robote bolą gnote... — Jak to starzy.

— Zdrzeta le, jak to ta Weronika w tuńcu jidze! Kroczi jak królewjonka...

— Tacie koła ze starym robjic! O, Jene!...

Tańcuje, nie dotykając prawie stopami ziemi. A teraz z tym kudłoczem starym Jabromem, jak ten wiatr śmiga ino po izbie. Niech ich diocheł...

— Sadnij sobie Jabrom, bo jesz zmachcony — i znowu! Teraz z rudym, Adrzijem.

Po dłuższym odpoczynku zaczął się „brutci tuńc". Weronika przechodziła z ramion w ramiona, rozgrzana, podniecona nową a osobliwą sytuacją, szczęśliwa — a na talerz sypały się pieniądze. Zaśpiewano jej przedtem pięknie:

> Zakukała kukawica przed dworę,
> Sedzy nasza młoda pani za stołę...
> Zagrajce nom naszi mjili muzicy,
> Niech sę nasza młoda pani nie smucy.
> Zagrajce nom, naszi mjili trębacze,
> Niech sę nasza młoda pani wiskacze...

I Franceszk musiał zatańczyć z Weroniką. Ruszył się z miejsca ociężale, po raz pierwszy, ale „gajde stowioł w tuńcu jak bocon w rzece" myślała o nim jego białka Bareszka. Z młynarzówną inaczej by pewno szedł. O, inaczej. — „Z Weroniką łen tak tenceje jak ta koza podkuta".

Weronika już nóg nie czuła, świat w oczach jej wirował, ale obtańcować musiała wszystkich.

—Ale jidze — dziwowano się pod ścianami. — Jak sama dma! Jakbe sę je bote poliłe.

Nie zdążyła odpocząć — a tu już oczepiny:—„Teroz wjinc zdjimac e głowę czepic!" — zakrzyknięto chórem.

Na środku izby ustawiono wysoką gropę [9]), dnem do góry, a obok gropy stołek bez oparcia. Dorota zapaliła na stole dwie świece — symbol życia młodej pary. Pjoter i Weronika wyszli na środek i usiedli plecami do siebie: Weronika na gropie, a Pjoter na stołku. Weronika zaśpiewała wysokim, szklanym głosem, nabrzmiałym łzami:

> Ach mój wjińcu lewandowy,
> Nie spadniże z moje głowy,
> Bo jak ty mje z głowy spadniesz,
> To ju wjice nie usadniesz.

Podeszły przidanki i przewiązały Weronice oczy białą chustką. To samo zrobili przidani Pjotrowi. Po odśpiewaniu przez przidanki:

> Nie płacz, brutko, nie płacz
> E wjonca nie żałuj,
> Zdjemej wjineszk z głowy
> E noma go daruj!

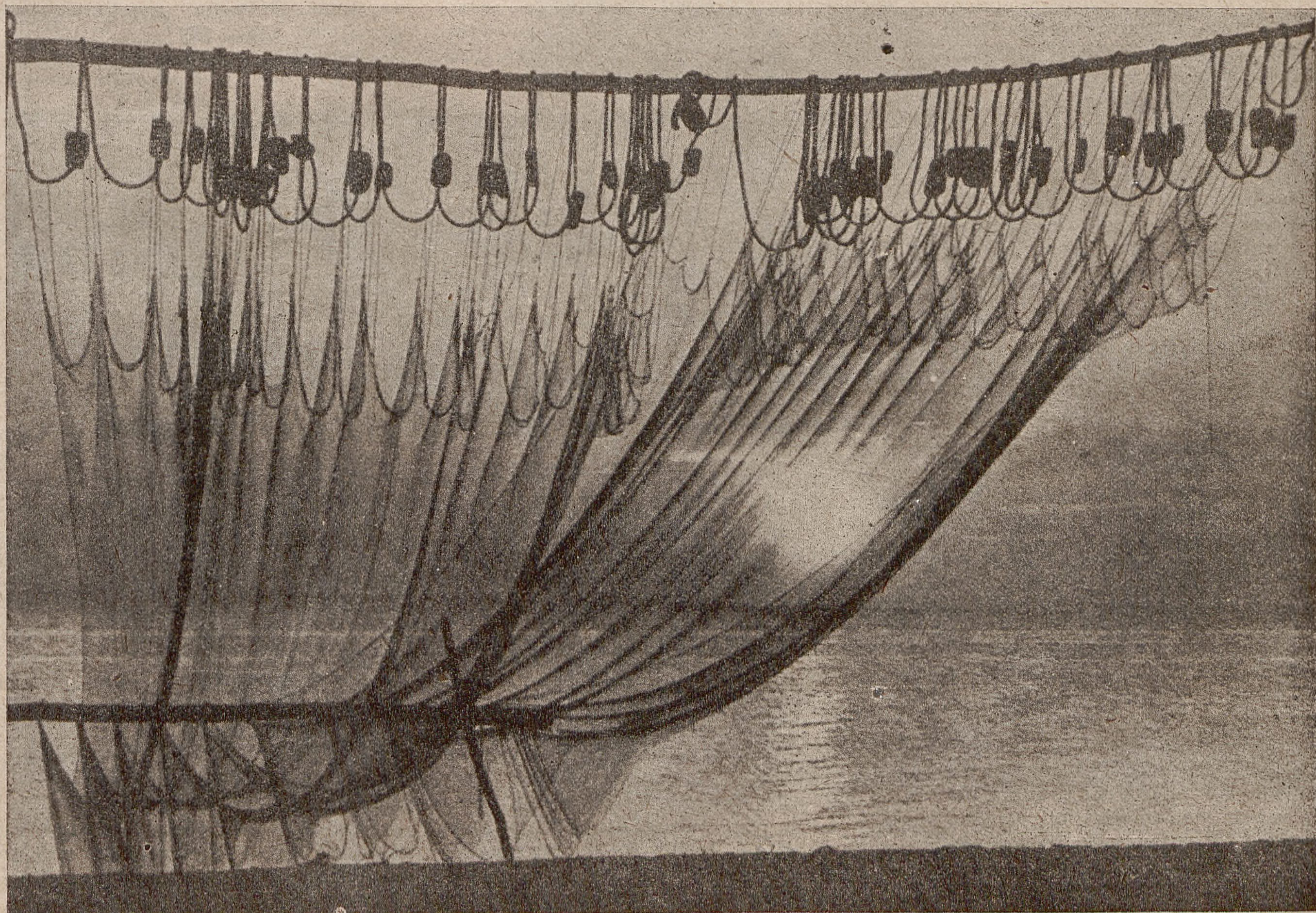
Pjoter wstał ze stołka i zdjął wianek z jej głowy, a wtedy przidanowie usunęli z ich oczu przepaski. Weronika i Pjoter stali naprzeciw siebie, mrugając oczami, bo oślepiało ich światło. Strojne we wstążki świece skwierczały. Nikłe płomyki falowały jakby na wietrze. Zdmuchnięto je. Zapachniało kaplicą. Podeszła do Weroniki Dorota, ucałowała ją, po czym włożyła jej na głowę biały, sztywny, pachnący krochmalem czepiec i przepasała ją fartuchem.

No, Weronika jest już żeniała. Weronika jest bjałką.

Pjoter podszedł do swojej białki, przyciągnął ją do siebie, przytulił jak mógł najmocniej i z zamkniętymi oczyma ucałował w usta, policzki i oczy. Już się nie broniła, nie wyrywała, nie tłukła go pięścią w piersi jak ongi u płaskiego kamienia na strądzie, gdy zamącił jej był niebieską wizję Magdaliny. Nosiła wszakże teraz: na głowie sztywny czepiec, u pasa klinik [10]), a w sercu pierwsze ciężkie, ale bardzo słodkie kochanie.

---

**Objaśnienia:** 1) szelbiąg — kredens; 2) dijanka — piękność; 3) brutka — panna młoda; 4) pujka — kot; 5) fernoga — powsinoga; 6) kumki — filiżanki gliniane; 7) przidanki — druhny; 8) jemny — przyjemny; 9) gropa—żelazny garnek; 10) klinik — fartuch.



JAN WRZOSEK,

# NASZA FLOTA HANDLOWA

Wiadomości o losach naszej floty handlowej podczas wojny były w ogólności niejasne i skąpe. Często przysłaniała je tajemnica działań wojennych, lub odległości przestrzeni i czasu.

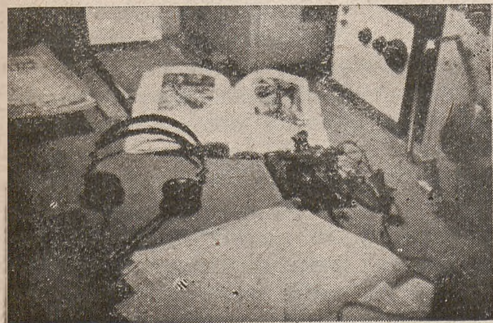
W kraju orientowano się, iż wybuch wojny w 1939 r. zastał większość naszych statków handlowych na odległych morzach świata. Była to wiadomość, zgodna z prawdą. Wobec braku bliższych szczegółów, wiadomość ta wystarczyć musiała przez pięć i pół lat wojny za najważniejszą informację.

Słusznie też stała się źródłem pokrzepienia. Szczęśliwy zbieg okoliczności, który uratował większość naszych statków od katastrofy wrześniowej, pozwolił im współuczestniczyć nieprzerwanie w walce przeciwko znienawidzonemu wrogowi, Niemcom.

Wszystkie myśli z głębi kraju towarzyszyły wtedy biało-czerwonej banderze. Widziano w niej znak żywotności Polski wolnej i niepodległej pośród zwycięskich państw i narodów świata. Biorąc udział w działaniach wojennych, bandera ta wywalczała drogę do ojczyzny. Świadcząc o polskim wkładzie trudów, ofiarności i bohaterstwa, realnie upominała się przy tym o wszystkie prawa do korzyści, należnych Polsce z tego tytułu.

Na razie, podczas wojny, trzeba się było liczyć ze stratami. Schronienie się naszych statków w odległych portach morskiego świata nie gwarantowało im oczywiście bezpieczeństwa. Rejsy w konwojach narażały je, podobnie jak żołnierzy w bitwach, na śmierć, lub rany od niemieckich torped, min, lub bomb lotniczych.

Niejedna wiadomość potwierdzała tego rodzaju supozycje. Z tą myślą jednak łączyło się przekonanie, że straty polskiej floty handlowej są automatycznie wyrównywane przez przydział, względnie zakupienie innych jednostek od państw anglosaskich. Wprawdzie taką supozycję niejednokrotnie podczas wojny uzasadniały wiadomości z zagranicy za pośrednictwem radia, i w tym wypadku jednak nie dawało to w rezultacie analitycznego, ani syntetycznego obrazu. Los poszczególnych statków, jak i całości polskiej floty handlowej, pozostał właściwie do końca wojny nieznany.


W kabinie radiotelegrafisty

Dopiero obecnie, rozpatrzywszy się w szczegółach niedawnej londyńskiej konferencji, w której wzięli udział przedstawiciele polskich władz morskich, jak i w materiale informacyjnym, dostarczonym z kilku naszych frachtowców z okazji ich ostatnich wizyt w Gdyni, można na podstawie zebranych informacji odpowiedzieć na zasadnicze pytanie:

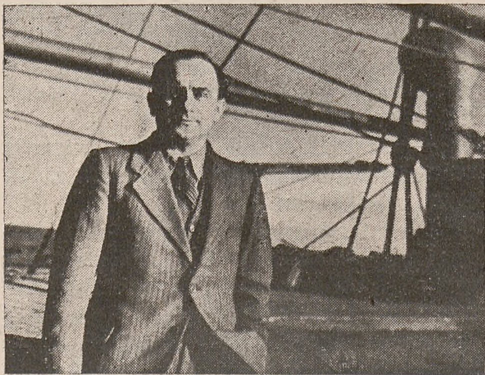
## Jak się przedstawia stan Polskiej Floty Handlowej?

Zacznijmy od ogólnego tonażu. Dla lepszego zilustrowania sprawy, porównajmy sytuację z przedwojennym okresem. W dniu 1 września 1939 roku tonaż polskiej floty handlowej wynosił 104.150 BRT, łącznie zaś z jednostkami, dzierżawionymi od obcych armatorów, około 140.000 BRT.

Słuszne okazały się przewidywania w kraju podczas wojny. Na skutek działań wojennych, tonaż polskiej floty handlowej poniósł niemałe straty. Jak się okazuje — około 30%. Lecz tonaż ten, zgodnie z dalszymi przewidywaniami, został drogą zakupu nowych jednostek wyrównany. Wynosi on obecnie 108.897 BRT, łącznie zaś ze statkami dzierżawionymi: 140.000 BRT. Jak z tego wynika zatem, stan naszej floty handlowej, mimo jej nieustannego, aktywnego współudziału w działaniach wojennych na morzach świata, nie poniósł przeto zasadniczego uszczerbku. Podobnie też i teraz, jak przed wojną, 93% tego tonażu przypada na statki, należące do przedsiębiorstw państwowych.

Aby dokładniej zapoznać się z całokształtem sprawy, trzeba przypomnieć, że polską flotę handlową tworzyły przed wojną w głównej mierze statki, należące do trzech przedsiębiorstw państwowych: „Żegluga Polska", „Gdynia—Ameryka Linie Żeglugowe" (GAL) i „Polsko Brytyjskie T-wo Okrętowe" (Polbryt).

Najliczebniej, co do ilości statków, przedstawiało się najstarsze z tych przedsiębiorstw: „Żegluga Polska". Posiadało ono przed wojną 16 jednostek, o łącznym tonażu 25.073 BRT. Warto przypomnieć, że jednostki te, zatrudnione na 9-ciu liniach regularnych, utrzymywały stałą komunikację towarową z Antwerpią, Rotterdamem i Hamburgiem, sięgając również do Finlandii i Estonii, Łotwy i Szwecji, jako też na Morze Śródziemne do portów Lewantu (Aleksandria, Jaffa, Haifa, Pireus, Konstantynopol, Algier, Beyrouth, Saloniki, Bourgas, Kandia, Ismir, nawet do Limassol, Larnaca i Smyrny).


Kpt. m/s „Lechistan" Ze..on Słomkowski

W skład tych 16-tu statków wchodziły: s/s „Wisła" (3.108 BRT), m/s „Lewant" (1.923 BRT), m/s „Lechistan" (1.906 BRT) s/s „Katowice" (1.995 BRT), „Kraków" (2.017 BRT), „Poznań" (2.017 BRT), „Toruń" (2.018 BRT), „Wilno" (2.018 BRT), „Hel" (1.066 BRT), „Puck" (1.064 BRT), „Cieszyn" (1.402 BRT), „Śląsk" (1.402 BRT), „Chorzów" (845 BRT), „Tczew" (760 BRT), m/s „Oksywie" (766 BRT) i m/s „Rozewie" (766 BRT). Przedsiębiorstwo to posiadało nadto cztery, znane bywalcom Gdyni, mniejsze parowce dla żeglugi przybrzeżnej, kabotażowej: „Gdynia", „Gdańsk", „Jadwiga" i „Wanda" oraz sześć holowników: „Tytan", „Ursus", „Atlas", „Tur", „Bizon" i „Łoś".

Z wszystkich tych statków „Żeglugi Polskiej" ocalało z wojennego sztormu tylko dziesięć jednostek, o łącznym tonażu 18.218 BRT, a mianowicie: s/s „Wisła", m/s „Lewant" i „Lechistan", s/s „Katowice", „Kraków", „Poznań", „Wilno", „Hel", „Śląsk" i m/s „Oksywie". Podczas wrześniowych walk w Gdyni zatonęły s/s „Toruń" i „Tczew" oraz kabotażowce. Ofiarą wojny na odległych morzach padły: s/s „Chorzów", „Cieszyn", „Puck" i m/s „Rozewie". W dniu 2 stycznia powróciły do Gdyni przedwojenne holowniki: „Atlas" i „Tur".

W porównaniu z „Żeglugą Polską", tonaż przedsiębiorstwa „Gdynia — Ameryka Linie Żeglugowe S. A." — powiększył się. Do 1. IX. 1939 r. GAL dysponował ośmioma statkami o tonażu 70.817 BRT. Utrzymując regularną łączność głównie z portami Ameryki Północnej (Halifax i New York), Południowej (Rio de Janeiro, Buenos Aires, Santos, ew. Victoria, Montevideo) oraz z portami zatoki Meksykańskiej i Florydy (New Orleans, Houston i Galveston), odbywały one również rejsy na linii palestyńskiej Konstanca — Istambuł — Pireus — Jaffa — Haifa.

Do przedsiębiorstwa tego należały dobrze znane dwa największe polskie statki-motorowce: „Piłsudski" (14.294 BRT) i jego bliźniak „Batory" (14.287 BRT), jako też starszego typu s/s „Pułaski" (6.345 BRT) i „Kościuszko" (6.852 BRT). Trzeba też wspomnieć, że na krótko przed wojną do statków GAL'u przybyły ponadto dwa nowoczesnie urządzone i świetnie pod względem technicznym wyposażone motorowce: „Chrobry" i „Sobieski" oraz dwa mniejsze statki tego typu: „Morska Wola" i „Stalowa Wola".

Jak się okazuje, straty GAL'u podczas wojny były nieliczne, ale dotkliwe. W pierwszym rzędzie przypomnieć tu należy stratę m/s „Piłsudski". Jako flagowy statek polskiej floty handlowej pod dowództwem kapitana Mamerta Stankiewicza został on storpedowany przez niemiecką łódź podwodną w dniu 26 listopada 1939 roku. Niemniej bolesną stratą było zatonięcie w dniu 14 maja 1940 roku nowoczesnego, ledwie rok przedtem uruchomionego motorowca „Chrobry", który szczególną dzielnością odznaczył się w akcji morskiej pod Narvikiem.

Stracony w ten sposób tonaż GAL'u został jednak podczas wojny wyrównany z dużą nadwyżką. Jak wynika z otrzymanych ostatnio informacji, przedsiębiorstwo to posiada obecnie 11 jednostek o ogólnej pojemności 79.251 BRT. Do sześciu przedwojennych (m/s „Batory", „Sobieski", „Morska Wola", „Stalowa Wola" oraz s/s „Kościuszko" i „Pułaski") przybyło podczas wojny pięć nowych frachtowców typu „Liberty", o pojemności około 7.000 BRT każdy. Otrzymały one nazwy: s/s „Bałtyk", „Narwik", „Tobruk", „Borysław" i „Białystok". Ponadto GAL wydzierżawił od rządu amerykańskiego podobny w typie frachtowiec, który pływa obecnie pod nazwą: „Opole".

Wszystkie statki GAL-u znajdują się teraz na różnych morzach świata, odbywając rejsy do Indii i Południowej Afryki, albo do Ameryki i Anglii.

Podobnie tonaż „Polsko-Brytyjskiego Towarzystwa Okrętowego" (Polbryt), mimo strat, poniesionych podczas działań wojennych, powiększył się znacznie. Krótkie, retrospektywne spojrzenie przypomina, że do dnia 1. IX. 1939 r. wynosił on 8.260 BRT. Przedsiębiorstwo to dysponowało wtedy 5-cioma statkami: s/s „Warszawa" (2.487 BRT), „Lech" (1.568 BRT), „Lublin" (1.409 BRT), „Lwów" (1.409 BRT) i „Lida" (1.387 BRT). Odbywały one regularne podróże do Londynu, Hull i Hawru.

W czasie wojny zatonęły: s/s „Lwów" i „Warszawa". W tym samym okresie „Polbryt" wydzierżawił od rządu amerykańskiego 5 statków. Pływają one obecnie (głównie na morzach Anglii) pod nazwą s/s „Kielce", „Kolno", „Kowel", „Krosno" i „Kutno". Ogólny tonaż „Polbrytu" zwiększył się w ten sposób do 13.720 BRT.


Delfiny — weseli towarzysze statków w czasie żeglugi

Osobno, w uzupełnieniu, trzeba tu wspomnieć o kilku prywatnych przedsiębiorstwach żeglugowych, które podczas wojny przyczyniły się również do powiększenia stanu polskiej floty handlowej. Do tej kategorii przedsiębiorstw należy obecnie „Bałtycka Spółka Okrętowa", która dysponuje statkami s/s „Narocz" (1.795 BRT) i s/s „Kroman" (1.897 BRT). Polski przedsiębiorca Falter posiada dwa motorowce: „Kmicic" (1.894 BRT) i „Kordecki" (1.975 BRT). Do firmy Rothert i Kiłaczycki należy mały motorowiec „Bug" (500 BRT), pływający obecnie pod flagą angielską.

Na osobne omówienie zasługują również prywatne przedsiębiorstwa rybołówstwa morskiego. I one też podczas wojny rozwinęły za granicą, głównie w Anglii, dużą inicjatywę. W ich liczbie wymienić należy przede wszystkim firmy: „W. Bartosiak" „Korab" i „Delfin".

Do firmy „W. Bartosiak" należą w obecnej chwili dwa statki rybackie: „Podlasie" i „Podole" (po 325 BRT każdy). Druga z tych firm eksploatuje statki: „Korab I" i „Korab II" (po 263 BRT każdy). Trzecia posiada obecnie jeden statek pod nazwą „Delfin II" (253 BRT). Wspomnieć trzeba przy tym, że prywatne przedsiębiorstwo „Bałtycka Spółka Okrętowa", poza swymi frachtowcami, dysponuje w obecnej chwili również dwoma rybackimi statkami o nazwach „Pokucie" i „Polesie" (po 325 BRT każdy).

Podając ten stan polskiej floty handlowej w ogólnym zarysie, niesposób pominąć zagadnienia, które wiąże się z pytaniem:

## Dlaczego nasze statki nie powróciły dotąd z zagranicy?

Przybycie szkolnego żaglowca „Dar Pomorza" ze Szwecji stanowi tu wyjątek zbyt specjalnego typu i pokroju. Gdzie są nasze statki handlowe? — pytamy. Jak dotąd, z frachtowców tych ujrzeliśmy w porcie gdyńskim jedynie s/s „Kraków", „Katowice", „Poznań", „Śląsk", m/s „Morska Wola" i „Lewant". Dlaczego przybyło ich dotąd do Gdyni kilka, a nie wszystkie?


Sprawdzanie logu

Kluczem do rozwiązania tej zagadki jest — UMA. Mało kto w kraju zdaje sobie sprawę, ile treści i jak ważne znaczenie zawiera ta nazwa.

Trzeba tę sprawę wyjaśnić od podstaw. Oto w obliczu działań wojennych, niedługi czas przed kapitulacją Niemiec, prawie cała flota handlowa świata została podporządkowana międzynarodowej organizacji żeglugowej pod nazwą „United Maritime Authority". Organizacja ta powstała dla wykonania dwóch zadań: skupienia wszystkich sił morskich celem szybszego zakończenia wojny z Japonią oraz dla przygotowania na czasy pokojowe międzynarodowej współpracy wszystkich państw morskich w dziedzinie żeglugi.

Do „United Maritime Authority" (w skrócie: UMA) przystąpiły niemal wszystkie państwa, których flota w okresie wojny znalazła się na morzach świata. Uczynił to również były rząd emigracyjny w Londynie. W ten sposób cała polska flota handlowa znalazła się w dyspozycji UMA.

Trzeba wiedzieć, że władzę tej organizacji stanowią dwa ciała wykonawcze: w Londynie — ministerstwo transportów wojennych i w Waszyngtonie — wojenna administracja żeglugi. Ale i o tym trzeba pamiętać, że na podstawie umowy członków UMA cały tonaż, znajdujący się w dyspozycji tej organizacji, ma być zwolniony z tej umowy w sześć miesięcy po zakończeniu wojny z Japonią. Nasze statki handlowe będą więc miały wkrótce powrotną drogę do ojczyzny — otwartą. Czekamy na tę chwilę ze zrozumiałą niecierpliwością. Stęskniła się za nimi Gdynia i one za Gdynią.

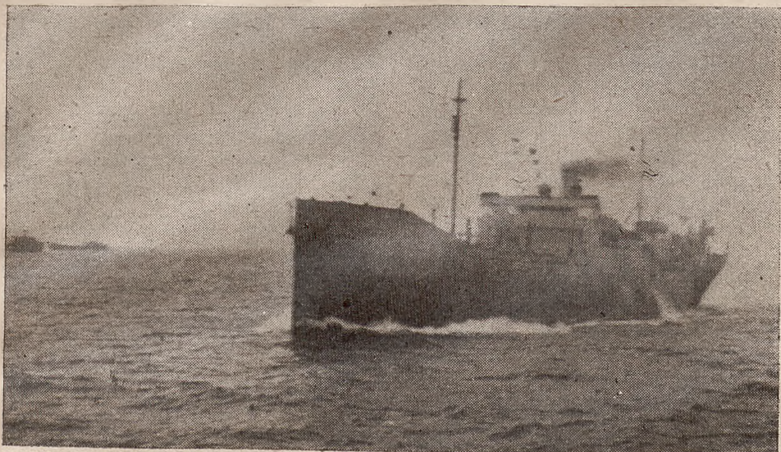
Pierwsze wizyty naszych frachtowców w porcie gdyńskim świadczą, iż UMA rozpoczęła już przed 6-ciomiesięcznym terminem zwolnienia polskich statków z obowiązującej umowy, zezwalając im na odbywanie dorywczych rejsów dla potrzeb naszego kraju.

Tymczasem musimy śledzić z największą uwagą przebieg wydarzeń w łonie organizacji UMA, gdyż zanim ta organizacja zostanie rozwiązana, w jej ramach i pod jej kierownictwem zapadną ważne uchwały, tyczące problemów regularnej i nieregularnej żeglugi międzynarodowej, jak i specjalnych układów państw tą żeglugą zainteresowanych.

ANDRZEJ GOWOREK

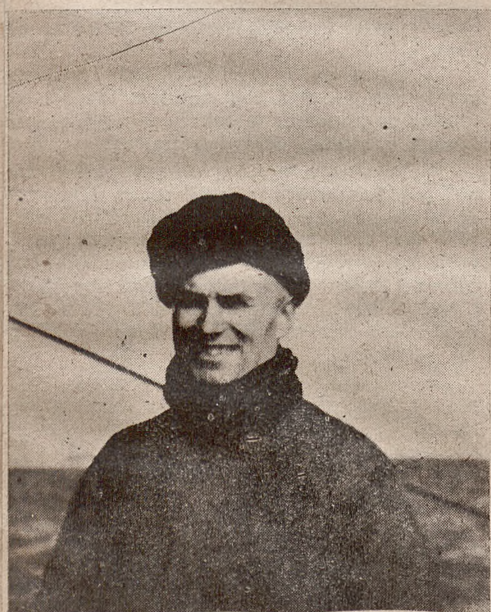
# Statki w konwojach

M/s „Lewant" był siódmym polskim statkiem, który po sześciu i pół latach rozłąki stanął w porcie gdyńskim. Przybył w dniu 6 stycznia z Hull, przywożąc nową porcję darów UNRRA: — wełnę dla naszego przemysłu włókienniczego, odzież, urządzenia szpitalne, lekarstwa. Wyładowanie towarów trwało trzy dni. Jeszcze to jeden dowód coraz lepszej sprawności przeładunkowej portu gdyńskiego



Z pozoru nie różnił się taki tankowiec od innych

Dnia 10 stycznia zabrzmiała basem syrena statku, zaszczękały w kluzach łańcuchy kotwiczne, wybrane z basenu, zadzwonił z mostku kapitańskiego telegraf do maszyn. Statek, wyprowadzony przez pilota po oczyszczonym z min fahrwatterze — odpłynął. Lecz pozostawił nam w pamięci coś więcej niż zwykły, ciemny bukiet dymu nad kominem, lub przysłowiową smugę kilwateru, wyrzeźbioną w morzu za rufą.



Twarz jego rozjaśniła się w uśmiechu...

Z sylwetką tego frachtowca łączą się bohaterskie dzieje naszej floty handlowej w latach ostatniej wojny. Dopiero dziś, z opowiadań marynarzy, przybywających z UNRRA-owskim ładunkiem do Gdyni, możemy uświadomić sobie fragment za fragmentem, obraz za obrazem, ile grozy, niebezpieczeństw, przygód, ile ofiar i trudów zawarła w sobie w tych latach polska epopea morska na bitewnych szlakach.



— Cóż te kontrtorpedowce tak bomby głębinowe rzucają!

M/s „Lewant" nazywano po prostu — „zapalniczką". W żargonie marynarskim charakteryzowało to straceńca: statek z ładunkiem syntetycznej benzyny. Trudno było przewidzieć, czy, lub kiedy taka „zapalniczka" w konwoju zaświeci. Mogło to się stać dziś, jutro, każdej chwili. W każdym razie, przy całym należnym respekcie, podziwie i uznaniu, nie wróżono takim statkom zbyt długiego wytrwania w żegludze na szlaku konwojów.

Historia ostatniej wojny notuje, że prawie wszystkie maskowane tankowce z ładunkiem płynnych materiałów palnych (było ich zresztą niewiele w całej flocie Narodów Zjednoczonych) poginęły w sposób straszny. Wszystko jedno, czy trafione torpedą, lub bombą, zranione miną, czy zadraśnięte pociskiem, zamieniały się od razu w słup ognia, który jak drewniane pudełko ogarniał stalowe burty statku i niemal w okamgnieniu trawił go doszczętnie. Wystarczyło dziesięć palców u rąk, aby wyliczyć z pamięci wypadki, że komuś z załogi udało się z takiego piekła ujść zdrowo i cało.

Natomiast znacznie częściej zdarzało się, że od „zapalniczki" zajmowały się pobliskie statki w konwoju, zwłaszcza że wśród nich nigdy nie brakło łatwopalnych „żabek" - frachtowców z ładunkiem amunicji. W skutkach przypomina to jedną z najtragiczniejszych klęsk floty alianckiej w latach wojny, a mianowicie, katastrofę konwoju na wodach Adriatyku przed włoskim portem Bari w grudniu 1943 roku.

Dowiedzieliśmy się o niej dopiero niedawno. Właśnie na „Lewancie".

— Czterdzieści transportowców stało wtedy w wyciągniętej kolumnie — opowiadał nam kapitan tego statku, Stefan Ciundziewicki, jeden z najwybitniejszych i najstarszych żeglarzy naszej floty handlowej. — Nagle z chmur wypadła trójkami eskadra niemieckich nurkowców. Pech zdarzył, że pierwsze bomby zrzucone zostały celnie w sam środek konwoju — na statki z benzyną i amunicją. Siedemnaście transportowców poszło wtedy na dno, w dużej części skutkiem przerzutu ognia. Utonęły wówczas także dwa polskie statki: s/s „Puck" i s/s „Lwów".

W messie zaległa cisza. Słuchaliśmy z uwagą. Zdawało się, jakby przed naszymi oczami przesuwał się obraz wstrząsającego filmu. Kapitan Ciundziewicki cedził słowa. Lecz każde z nich było mocne, żywe, wypełnione treścią. Raptem, na niebieskie jego oczy zsunęły się zmarszczone, gęste brwi.

— Cudem wyszedł wtedy „Lewant" z Bari — ozwał się po chwili jeden z obecnych w messie oficerów.

Kapitan Ciundziewicki spokojnym ruchem strzepnął popiół z papierosa i zwięźle zakończył swe opowiadanie:

— Tak. Mieliśmy rzeczywiście wyjątkowe szczęście.

Komentarz ten odnosi się jednak nie tylko do owego dnia w Bari. Jeśli m/s „Lewant" wyszedł z wojennej zawieruchy bez szwanku, zawdzięczał to w ogólności niezwykłemu swemu szczęściu. Fakt, że przez trzy lata wojny pływał on z ładunkiem syntetycznej benzyny, wystarczy, aby uświadomić sobie, iż przeżycia, jakie zaznał w Bari, nie należały w jego rejsach do rzadkości.

— Jak wam się wojowało w konwojach? — zapytałem przy innej sposobności jednego z marynarzy, który przybył na polskim frachtowcu z UNRRA'owską drobnicą.

— Rozmaicie! — odparł człowiek w futrzanej czapie, z grubym, wełnianym szalem na szyi. Ostre rysy jego twarzy, wygolonej, wygarbowanej przez szkwały, rozjaśniły się w uśmiechu.

— Na Śródziemnym morzu, czy na Atlantyku — wyjaśnił mi — żeglowało w konwoju przeciętnie siedemdziesiąt transportowców. Zresztą bywało, że ich liczba sięgała nieraz do stupięćdziesięciu sztuk. Roboty było wtedy co niemiara. Trzeba było trzymać stale odległość między statkami na dwa kable. Niech tylko który z nich zmniejszył nieco tę odległość, a już dowodzący konwojem na przodzie kolumny awanturował się. Między statkami nie ustawała łączność za pomocą sygnalizacji flagowej. Godzinami staliśmy nieraz oparci o burtę, obserwując, prowadzoną za pomocą chorągiewek, rozmowę między statkami. W ciągu lat wojny prawie każdy z nas marynarzy, zdążył nauczyć się alfabetu sygnałowego. Pod koniec wojny znaliśmy go wszyscy doskonale.

— Najwięcej koleżeńskiego kłopotu było stale z tankowcami. Każda „zapalniczka", płynąca obok w kolumnie, mogła nie wiadomo kiedy nos sąsiadowi okopcić. Z pozoru nie różnił się taki statek od innych: na burtach nosił liszaje startej farby, pośrodku jego pokładu sterczał czarny cybuch komina. Tylko wewnątrz — któżby się spodziewał — zawczasu w stoczni przerobiono komory takiego wycirusa, aby zamienić go galanto w jeden wielki tank pełen różnych baków i beczek z materiałem pędnym. Statki z benzyną czy amunicją szły w kolumnie, zmieszane z innymi transportowcami. Lecz mimo to, umiały je wywęszyć niemieckie łodzie podwodne.

— Jak to wyglądało?

— Właściwie tropiliśmy się wzajemnie przez cały czas żeglugi. Konwój miał zawsze ochronę w postaci kilku kontrtorpedowców, a czasem i awio-matki z samolotami. Łodziom niemieckim towarzyszyły również samoloty. Starały się one im pomóc w różny sposób: — zmusić konwój do skierowania go w ich stronę, bądź też spowodować w szyku konwoju zamęt, który by umożliwił łodziom przedarcie się w środek kolumny transportowców i odpalenie do nich torped. Z naszej strony, oczywiście, czyniliśmy wszystko, aby zniszczyć łodzie niemieckie, zanim rozpoczną atak. Tępiliśmy samoloty. Każdy statek był przygotowany do odparcia ich nalotu. Każdy też mógł odpowiednio przywitać łodzie. Frachtowce były niezgorzej uzbrojone. Miały działa morskie i przeciwlotnicze, ciężkie karabiny maszynowe, ponadto posiadały balony zaporowe, reflektory, rakiety spadochronowe, aparaturę przyrządów podsłuchowych i optycznych.

— Wszystko to — uśmiecha się marynarz w futrzanej czapie — żyło przez cały czas żeglowania w konwoju. Nie było chwili spoczynku. Alarmy na statkach następowały jeden za drugim. Przyzwyczailiśmy się z czasem nie zważać na nie. Każdy marynarz w dzień, czy w nocy, był stale na swoim stanowisku. Większość, przez cały czas żeglugi w konwoju nie zdejmowała z siebie ubrania. Spało się na pokładzie, lub w przedziale maszynowym. Jadło się, stojąc, zawsze „na chybcika". Najgorsze godziny przypadały na 10-tą, 12-tą i 4-tą w ciągu dnia. Osobliwe, że Niemcy w swoich atakach na konwoje trzymali się tych godzin z całą regularnością.

Mimo znakomitego uzbrojenia i ciągłego pogotowia, trzeba dodać, że straty w konwojach były ogromne. Zwłaszcza w pierwszym okresie wojny. Często wtedy do Glasgow, lub Liverpoolu, gdzie mieściły się główne bazy przeładunkowe, nie powracała połowa statków z konwoju. Dla nas ma ta wiadomość specjalne znaczenie. Wielu naszych marynarzy spotkała w ten sposób śmierć na dalekich morzach. W takich okolicznościach zginęli m. inn. dzielni kapitanowie, o znanych przed wojną nazwiskach: Mamert Stankiewicz na m/s „Piłsudski", Z. Deyczakowski na s/s „Robur VIII" pod Irlandią w 1943 r. oraz Grabowski na s/s „Wigry" na morzach Islandii w 1942 r.



— Co dziś będzie na obiad?



Godzinami nieraz staliśmy oparci o burtę, obserwując, prowadzoną za pomocą sygnalizacji flagowej, rozmowę statków

ANDRZEJ ODNOWA

# Państwowa Szkoła Morska

Któż nie pamięta jeszcze sprzed wojny w Gdyni pięknego gmachu Szkoły Morskiej? Z basenów portowych, z plantu kolejowego, z autobusów mknących do Chylonii, ze wzgórza cmentarnego na Oksywiu — zewsząd widziało się sylwetę tego gmachu. Powiewająca na nim bandera przypominała, że w Państwowej Szkole Morskiej rośnie, kształci się i zaprawia w sztuce żeglarskiej pokolenie przyszłych oficerów Marynarki Handlowej. Wielu uczniów z tej szkoły wojna zabrała. W walce 1939 r. poległo 14 wychowanków Szkoły; za okupácji zamordowanych zostało 4-ch profesorów, 16 oficerów i 11 uczniów; 18 poległo za granicami Ojczyzny.

Gmach znacznie uszkodzony (dostał kilkanaście pocisków), przetrwał jednak na ogół szczęśliwie działania wojenne.

Jesteśmy właśnie w hallu. Jak dawniej, witają tu nas — co prawda w gablotach bez szkła — piękne modele statków najróżniejszego typu: „Robur VII" z dźwigiem, frachtowiec „Niemen" (zatonął, był to bliźniak „Wisły"), fregata gdańskiego korsarza z XVII wieku „Paul Benecke" i w korytarzu —pierwszy polski bark szkolny „Lwów".

Od czasu do czasu, zabrzmi dzwonek na przerwę, — przecież to szkoła! Nauka biegnie już prawie normalnym tokiem. Na miejsce utraconych w czasie wojny, wyrosną w odrodzonej ojczyźnie nowe zastępy morskich oficerów. Poszerzone wielokrotnie Wybrzeże, będzie ich wymagało coraz więcej.

## Chlubna tradycja

Wśród rzeszy marynarskiej panuje duży kult dla przeszłości Szkoły. Pamiętać najdrobniejsze szczegóły z jej przeszłości, być jej przedwojennym uczniem, zwłaszcza jednym z pierwszych, to tytuł do zasłużonej dumy.

Nieliczny był pierwszy zastęp uczniów szkolnictwa morskiego. Wyłonił się on z egzaminów wstępnych — w Warszawie, w gmachu szkoły Wawelberga i Rotwanda przy ul. Mokotowskiej. Przyjęto tam pod koniec czerwca 1920 roku 53, pod jesień zaś jeszcze 29 kandydatów. Długo szukano gmachu dla Szkoły. Kompletne urządzenia warsztatów przemawiały za szkołą rzemieślniczą w Tczewie. Tam też rozpoczął się w końcu października 1920 pierwszy rok szkolny, po czym dn. 8 grudnia nastąpiło oficjalne poświęcenie i pierwsze święto Szkoły. Zespół profesorski wynosił 15 osób, instruktorów warsztatowych było 5. Szkoła obejmowała dwa wydziały: nawigacyjny i mechaniczny. Pierwszym dyrektorem w Tczewie był inż. Antoni Garnuszewski (do 1930 r.). Pierwszy egzamin dojrzałości odbył się w maju 1922 r., pierwszy zaś egzamin dyplomowy — w kwietniu 1923 r.

Latem 1930 roku Szkoła przeniosła się z Tczewa do specjalnie wybudowanych, okazałych gmachów w Gdyni. Fakt ten miał dla rozwoju uczelni decydujące znaczenie. Wyposażenie Szkoły i poziom nauki z roku na rok się doskonaliły. W ostatnich latach przed wojną Państwowa Szkoła Morska w Gdyni **zaliczała się już do najlepiej postawionych szkół tego typu na świecie.** Wstępowali do niej nawet obcokrajowcy.

W roku 1938 otwarto trzeci wydział: administracyjny.

Dyrektorami Szkoły byli w Gdyni: kmdr Adam Mohuczy (1930—1936), kmdr Władysław Kosianowski (1936—1937) i kpt. żegl. wlk. Stanisław Kosko (1937 — 1939).

Przez niespełna 19 lat istnienia przewinęło się przez nią około 1000 uczniów, z czego ok. 600 ukończyło całkowity kurs z prawem otrzymania stopnia oficerskiego. Z uczniów Szkoły do chwili wybuchu wojny otrzymało dyplomy kapitanów żeglugi wielkiej — 115 (w czasie wojny — 20); dyplomy mechaników I-ej klasy — 90 (w czasie wojny — 20). Reszta posiadła dyplomy kapitanów żeglugi małej, wzgl. mechaników II i III klasy. Trzeba też dodać, że spośród absolwentów Szkoły wyszło 5 dyrektorów samodzielnych przedsiębiorstw morskich, dyrektor stoczni, dyrektor gdyńskiej Szkoły Morskiej (ś.p. kpt. Kosko), i 5 inspektorów żeglugowych. Szkoła przygotowała też — na specjalnych kursach — liczny zastęp szyprów i maszynistów okrętowych oraz kierownicze obsady dla statków rybackich.

Mało który z uczniów - nawigatorów Państwowej Szkoły Morskiej z 1939 roku domyślał się, jak osobliwie przyjdzie mu kończyć morskie studia.

W drugiej połowie sierpnia 1939 r. ok. 120 uczniów wydziału nawigacyjnego znajdowało się właśnie na pływaniu szkolnym w rejsie z Gdyni do Libawy. 24-go „Dar Pomorza" wracał z łotewskiego portu. Prowadził statek kpt. Konstanty Kowalski. 25-go — zawinięto do portu szwedzkiego Oxoelesund, gdzie zatrzymano się przez tydzień. Potem nadszedł historyczny dzień 1 września 1939 roku. Okazało się, że powrót do Gdyni jest niemożliwy. Rozkazy z placówki dyplomatycznej skierowały statek do Stockholmu. Była to nad wyraz szczęśliwa decyzja.

Ze statkiem trzeba się było pożegnać — na czas wojny. Wkrótce potem znaleźli się młodzi marynarzę na brytyjskiej wyspie. Przybyli tam w dużej części drogą powietrzną.

Pracując w transporcie morskim na rzecz wspólnego zwycięstwa nad wrogiem, nasza Marynarka Handlowa potrzebowała normalnych obsad załogowych. Zaczęło się tedy dokształcanie marynarzy na specjalnych kursach. Na pierwszy ogień poszli uczniowie Szkoły z 1939 roku. Pierwszy skrócony 6-miesięczny kurs z 1940 r. ukończyło 24 nawigatorów i kilku mechaników. Dawał on tytuł aspiranta-porucznika żeglugi małej i stanowisko na statku do II-go oficera. Podobne kursy powtarzano co roku, przeważnie dla przedwojennych szyprów i maszynistów z polskimi dyplomami. Osobne kursy odbywały się dla bardziej zdolnych marynarzy — na szyprów i maszynistów. W roku 1943 odbył się ponadto 8-miesięczny kurs kapitański dla starszych oficerów nawet z zagranicznymi dyplomami. Wszystkie kursy gromadziły przeciętnie każdorazowo od 20 do 30 osób. Dyrektorem ich był kpt. żeglugi wlk. Antoni Zieliński, b. wychowanek Szkoły Morskiej w Tczewie. Na kursach posługiwano się przedrukowywanymi przedwojennymi podręcznikami z „Daru Pomorza". Część ich sprowadzi się teraz do Szkoły w Gdyni.



„Dar Pomorza" po sześcioletnim pobycie w Szwecji zawinął do portu wojennego w Oksywiu

## Kpt. Konstanty Maciejewicz

Duchem opiekuńczym obecnej Szkoły jest dyrektor, kpt. Konstanty Maciejewicz, przedwojenny kapitan statków szkolnych „Lwów", a potem „Dar Pomorza".

Mimo nawału prac, dyrektor szczerze uprzejmy i niezwykle uczynny, nie odmawia swych wiadomości. Słyszymy historię „Lwowa" i jego podróży, dowiadujemy się dziejów „Daru Pomorza", jego rejsów i przygód, aż do chwili schronienia się tego żaglowca do Szwecji. Kpt. Maciejewicz był po kpt. Ziółkowskim i kpt. Mamercie Stankiewiczu dowódcą „Lwowa", a potem odbierał, doglądał remontu oraz dowodził „Darem Pomorza".

Jego opowiadania morskie są pełne pasji i bezpośredniości.

Okropnie nie lubi Japończyków. „Przeklęte makaki" dosyć napsuły mu krwi, już za pierwszym przyjazdem do Jokohamy.

Pytamy o ten epizod.

— Było to — podejmuje kpt. Maciejewicz — w roku 1936. „Dar Pomorza" odbywał wtedy właśnie podróż naokoło świata. Jechaliśmy właśnie z Honolulu do Jokohamy. Wjeżdżamy do zatoki Kanedawan. Zakotwiczamy na morzu. Zabieramy się do zwykłej toalety statku. Skołatany burzą, wymaga on naprawy i świeżego pomalowania. Na całym świecie się to robi. Nagle ni stąd ni zowąd nadjeżdża motorówka japońska. Równocześnie radiotelegrafista Kwiatkowski przejmuje meldunek: stoimy w „zonie" fortecznej. Dowódca fortecy jokohamskiej żąda zawrócenia na morze i wjazdu do Jokohamy.

— Jesteśmy wściekli — kpt. Maciejewicz jeszcze dziś przeżywa ówczesne swe oburzenie. — Na żadnej mapie nie ma wzmianki o strefie fortecznej. Tymczasem na morzu — sztorm. Cholerne makaki! Niedługo potem mamy wizytę japońską. Kapitan żandarmerii w białych rękawiczkach, sztywny i wygrzeczniony, indaguje nieznośnie. Domaga się wyjaśnień w sprawie zakotwiczenia. Każdy szczegół budzi triumfujące podejrzenie.

— Z Honolulu? Mapy angielskie? Dlaczego telegram po polsku? Był pan w marynarce rosyjskiej: — szpieg! Mam jednak teksty depesz, wymienionych z poselstwem polskim. Podane w nich terminy wjazdu ratują nas, uspokajają nieco Prusaka Wschodu. Ale i potem chodzono za nami, śledzono, zwłaszcza przez szoferów taksówek. Nawet w kobiecym towarzystwie nie mieliśmy spokoju. Japończycy byli hitlerowcami już dawno przed hitleryzmem! — zapewnia mnie mój rozmówca.

## Szkoła — dziś

Kpt. Konstanty Maciejewicz to nie jedyny pioner Szkoły. Z pierwotnego zespołu profesorskiego dotrwali do dziś dnia prof. kpt. Antoni Ledóchowski, obecny kierownik wydziału nawigacyjnego oraz nieco późniejszy wykładowca inż. Witold Komocki, prowadzący wydział mechaniczny.

Wyposażenie dzisiejsze Szkoły jest, niestety, opłakane. Niemcy, co się tylko dało, wywieźli w ostatniej chwili na Zachód. Szkoła rozporządza teraz sprzętem najprostszym, wielu pomocy naukowych brak zupełnie. Uczniów można było przyjąć jedynie 170; 144 to początkujący, 26—to byli wychowankowie, kończący dziś swe studia.

Tymczasowym marzeniem Szkoły jest odzyskać wyposażenie i poziom nauki przedwojenny. Usuwa się przekształcenia z czasów niemieckich. Mimo ogromnych trudności praca posuwa się naprzód. Co dnia prawie zdobywa się nowy sprzęt. Tok nauczania jest intensywny, wiele godzin dziennie poświęca się wykładom. A ponadto: zajęcia warsztatowe, prace linowe, języki, dwa razy w tygodniu wykład polityczno-wychowawczy, dwie godziny tygodniowo musztra.

Oglądamy jeszcze przechowaną w Dyrekcji piękną banderę z orłem białym „Daru Pomorza". Nie ma dotąd sztandaru szkolnego. Znajduje się on jeszcze w Anglii, skąd wróci pewnie wkrótce do kraju.

Oglądamy album zdjęć oraz księgę podpisów. Te zdjęcia, to żywa kronika szkolnego statku. Pochodzą spod rozmaitych nieb, w rozmaitych portach ukazują naszych marynarzy w otoczeniu ludzi najróżniejszych ras. W księdze niezliczona ilość podpisów z całego świata i we wszystkich możliwych językach.

W południowo-afrykańskim Cape Town, czy w Osaka, wpisują się urzędowe znakomitości. W Kapsztacie federacja Żydów polskich. Na Martynice „żona miejscowego doktora", Polka, Zofia Klitandże prosi nie zapominać o rodaczce. W Balboa wpisuje „Szczęść Boże" ks. kapelan S. J. Ryczek z US-Army. W Szanghaju — polscy misjonarze franciszkanie. W Honolulu stronice księgi przybierają szczególnie pstrokaty charakter. Są tam zapiski w języku japońskim i tahitańskim. Uwieczniają się dziennikarze japońscy, studenci; nawet piękne Hawajki przeplatają podpisy rysunkiem przebitego strzałą serduszka. Pod datą z 1935 roku, pod zwrotnikiem, znajdujemy dłuższy improwizowany wiersz polski Dencel Carr'a mgr. filozofii Un. Jagiellońskiego i korespondenta Pol. Tow. Orientalnego. A wśród tego konsulowie, posłowie, attachés polscy.

Trafiają się też w księdze słowa prorocze. Konsul Jugosławii na Haiti wpisuje: „Hej Słowianie! nasza siła w naszym jedinienji". Okres przedwojenny zamykają znamienne słowa z 12. 6. 1939 Albiny Gruszeckiej: „Żegnać was będziemy w Gdyni, a witać w Gdańsku i Królewcu". Dziś widnieją już w księdze podpisy ministrów nowej Polski, powiększonej o Gdańsk, Kołobrzeg, Szczecin.

## Zwiedzamy szkołę

Po gmachu oprowadza nas woźny Szkoły, Ignacy Kubacki. Od 1920 roku, od tczewskich narodzin, jest on związany ze Szkołą. Mimo nacisku nie stał się Volksdeutschem. Zrezygnował z pracy w Szkole pod okupacją. Kubacki zna tu wszystko, pamięta doskonale szczegóły wyposażenia Szkoły, wie, co gdzie było, co jest i czego brak.

W hallu na I piętrze wisiały portrety kapitanów — dziś ich nie ma. Wiszą tam tablice ze znakami morskimi i stoją na podłodze ogromne, ciężkie kompasy.

W wydziale mechanicznym pełno modeli na ścianach. W sali robót linowych podziwiamy niezmierzone bogactwo wzorów lin, rzutek, węzłów: topowych, prostych, pętlowych. W kreślarni zastajemy grono uczniów pracujących w skupieniu. Gdzie indziej, oglądamy modele ruf ze sterami. Jest i salka radiostacji ze świetlnymi sygnałami.

Obserwatorium astronomiczne na III-im piętrze, niestety, mocno zniszczone. Audytorium fizyki posiadało niegdyś urządzenia filmowe, dziś ich brak. Gabinet fizyki i laboratorium fizyko-chemiczne również zubożały bardzo.

Woźny Kubacki prowadzi nas również do części internatowej Szkoły, umieszczonej w jednym ze skrzydeł gmachu. Tu wpadam we wzburzone morze uczniowskie: jest krótka przerwa obiadowa i wychowankowie Szkoły dają właśnie w tej chwili upust, hamowanym całe przedpołudnie, temperamentom.

Znajduję się w sali klubowej, do której przylega duża sala jadalna. Młodzi marynarze opuścili ją właśnie po obiedzie, który oceniają dziś na „trzy minus". Bynajmniej nie psuje im to jednak humoru. Kilku gra przy stolikach w szachy, ktoś z energią improwizuje na fortepianie.

Zapytuję o porządek dnia. Jak się okazuje, z pobudką o 6.30 nie jest tak źle. Najgorsze tempo ranne: gimnastyka, mycie, modlitwa, śniadanie — wszystko odbywa się błyskawicznie, po wojskowemu. — Czas od godz. 8 do 14.30 nabity jest wykładami — i to jakimi! — wzdycha jeden ze słabych matematyków. — Tylko śniadanie o 10-tej daje nieco odzipnąć.

— Na szczęście po obiedzie zajęcia mniej już są nużące: warsztaty, „linowe", języki — objaśniają mnie fachowo młodzi. — O g. 18.40 jest kolacja, po niej — silentium, modlitwa. O 21 g. trzeba iść spać. To zasadniczo — zwierza mi się w dyskrecji inny sympatyczny informator — właściwie jednak przed 10 nie zasypiamy. Czasem już o 17-tej godz. koniec zajęć. Do takich dni wzdychają wszyscy mieszkańcy internatu.

Zwiedzam jeszcze sypialnie, tymczasem jeszcze bez pięter, pokoje do indywidualnego wieczornego studium, ambulatorium, izbę chorych. Tu sanitariusz chlubi się diatermią i lampą kwarcową, które „już się robi". Pływalnia naprawiona, brak tylko dosyć opału. Lekarz wojskowy tymczasem „dochodzi", dawny kapelan dziś jest proboszczem na Oksywiu.

Ale niedługo już niczego nie będzie brakowało Szkole. Będzie jak kiedyś — entuzjazm dyrektora, zespołu wychowawczego, uczniów, nawet woźnego, przekonywa mnie o tym wymownie.

KAZIMIERZ BARNAŚ

# Kultura i sztuka na Wybrzeżu

Pierwsi pracownicy kultury pojawili się na Wybrzeżu w kwietniu 1945 r. wraz z ekipą Gdańskiego Woj. Wydziału Kultury i Sztuki. Niemal wśród palby armatniej i dogasających ruin zabezpieczano cenniejsze dzieła sztuki.

Wstępne prace organizacyjne były ciężkie i nierzadko wydawały się bezowocne. Ale zapał pionierski, urok morza i wrastająca coraz głębiej w świadomość zbiorową konieczność repolonizacji Wybrzeża podtrzymały siły. W ocenie osiągnięć kulturalnych na Wybrzeżu należy stosować inną miarę. Nazwijmy ją miarą kolonizacyjną, kresową. Teren Wybrzeża, etnograficznie biorąc, zniemczony, lub bardzo niejednolity, gospodarczo połączony wtedy z zapleczem jedyną linią kolejową na Tczew (obecnie także na Kościerzynę), izolowany od zagranicy ruiną portów i pustynią zaminowanych wód, ciężko było ująć administracyjnie, a cóż dopiero skolonizować kulturalnie.

Pierwsze ogniska kulturalne na Wybrzeżu były to improwizowane stanice polskości, które rodakom z Polski centralnej mogłyby się wydawać zaledwie... chatami kurnymi. Kolonizatorzy Wybrzeża byli jednak bardziej wzruszeni koncertem kilku polskich płyt gramofonowych, nadanych przez radiowęzeł w Sopocie, niż muzyką kameralną z Krakowa, której słyszeć nie mogli.

Dziś po upływie 9 miesięcy można stwierdzić, że Wybrzeże zostało inkorporowane do Polski administracyjnie, gospodarczo, ideologicznie i kulturalnie. Odwiedzający Wybrzeże musi obecnie spędzić tu przynajmniej dwa tygodnie, żeby poznać jego osobliwości kulturalne, podczas gdy jeszcze 5 miesięcy temu jedyną atrakcją była... piękna plaża w Sopocie.

Pierwsi na Wybrzeżu zorganizowali się muzycy i plastycy. Zasługą F. Smosarskiego i stworzonego w sierpniu Klubu Literackiego są

### CZWARTKI ARTYSTYCZNE

urządzane do tej pory w lokalu Związku Plastyków w Sopocie (ul. Obrońców Westerplatte 17).

Celem „Czwartków" było zrazu zaznajomienie społeczeństwa Wybrzeża z przedstawicielami sztuki i nauki polskiej, jak i z ważniejszymi przejawami osiągnięć kulturalnych i artystycznych w nowej Polsce. W pierwszej fazie swego istnienia sopockie „Czwartki" zastępowały dosłownie prasę fachową, książkę i radio, mając charakter „informacyjny". Z czasem przekształciły się one w specjalne imprezy artystyczne, oderwane od aktualnych zagadnień, dające w bogatych, doborowych programach sumę wrażeń artystycznych miłośnikom muzyki i literatury.

Organizatorzy sopockich „Czwartków" z grona Klubu Literackiego obchodzą w obecnej chwili jubileusz 25-go „Czwartku". W ciągu pięciu miesięcy traktowali czarną kawą i pożywką dla ducha ponad dwa tysiące osób, głównie ze sfer urzędniczych. Wprowadzili na estradę kilkunastu pisarzy o ustalonej pozycji (J. Brzechwa, J. Kott, St. R. Dobrowolski, M. Zydler, L. Pasternak, J. Stępowski, St. Piętak, J. Zawieyski, E. Herbert, M. Szczepkowska, M. H. Szpyrkówna, J. Żuławski, St. Zakrzewska i inni), jak również kilka ciekawie zapowiadających się debiutantów. W części muzycznej występowali artyści-pianiści: J. Gorbaty, H. Lewiński, M. Staniewicz, W. Walentynowicz, H. Palulis, Z. Pelińska; śpiewacy: M. Bojar-Przemieniecka, K. Czekotowski, M. Janowski, K. Pelińska, Z. Tokarzewska. Niemałe zasługi, jako conférencier, położyła w organizacji „Czwartków" znana przed wojną speakerka radiowa art. dram. J. Poraska.

Drugą instytucją wyrosłą z ducha demokracji są w obecnej chwili na Wybrzeżu

### WOJEWÓDZKIE KONCERTY OBJAZDOWE

zorganizowane przez F. Smosarskiego i zasilane finansowo przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Artyści, docierający autem ciężarowym wraz z pianinem do zapadłych wsi i miasteczek województwa dobrze spełniają zadanie upowszechnienia kultury. Łączna frekwencja na sześciu koncertach, które odbyły się dotychczas: w Skowaczu, Suchym Dębie, Nytychu, Pruszczu, Wejherowie i Kartuzach, wyraża się sumą kilku tysięcy osób, przeważnie repatriantów i Kaszubów. Produkowali się w tych koncertach śpiewacy, literaci i muzycy m. in.: J. Gorbaty, L. Herman, K. Czekotowski, M. Bojar-Przemieniecka, Z. Tokarzewska, M. Janowski, K. Barnaś, J. Rychlewski, A. Roppel.

### ŻYCIE LITERACKIE NA WYBRZEŻU

rozkwitło z pojawieniem się tu marynisty J. Stępowskiego. Zorganizowany przez niego dnia 3. VIII. 45 r. Klub Literatów w Sopocie zrzeszył zrazu 14 członków (obecnie 24-ch). Wnieśli oni duże ożywienie w ruch kulturalny na Wybrzeżu. I tak: J. Stępowski zajął się redakcją niedzielnego dodatku literackiego w „Dzienniku Bałtyckim" (obecnie Ed. Misiołek), J. Lau kolumną literatury i nauki w niedzielnej „Gazecie Morskiej", K. Barnaś kierownictwem literackim Teatru Miejskiego w Gdyni, M. H. Szpyrkówna działem literackim w Woj. Urz. Inf. i Prop., Janusz Rychlewski działem literackim w Polskim Radio. Inni z członków współpracują w „Czwartkach Artystycznych" w Sopocie, w „Środach Gdyńskich" i „Wtorkach Gdańskich". W dniu 4 stycznia b. r. odbył się w sopockim teatrze wieczór autorski członków Klubu Literackiego z udziałem: J. Stępowskiego, M. Zydlera, M. H. Szpyrkówny, J. Laua, K. Barnasia i J. Rychlewskiego. Impreza zyskała duże uznanie wśród słuchaczy, którzy szczelnie wypełnili widownię.

Wraz z rozwojem działalności Klubu Literackiego w Sopocie wyłoniła się konieczność zorganizowania życia literackiego w Gdańsku. Podjęła tę myśl część członków sopockiego Klubu, zamieszkałych na stałe w Gdańsku i Wrzeszczu. W ten sposób, grupa wspomnianych literatów na zebraniu organizacyjnym w dniu 21 października ub. roku utworzyła stowarzyszenie pod nazwą Bractwo Literackie (Przew. Edwin Jędrkiewicz). Celem gdańskiego stowarzyszenia jest szerzenie kultury artystycznej wśród najszerszych warstw społeczeństwa za pomocą wieczorów dyskusyjnych i literackich. Wieczory te postanowiono urządzać co drugi wtorek, począwszy od 20 listopada 1945 roku.

Reprodukcją „czwartków sopockich" stały się „środy gdyńskie" w kawiarni Fangrata od dn. 16.XI. ub. r. (org.: Smosarski, Lau, Stępowski, Brandys, Zaleski i inni).

Terminarz literacki wzbogacił się.

W uznaniu dla aktywności Klubu Literatów w Sopocie Zarząd Główny Z. Z. L. P. uchwałą z dnia 7. XII. 1945 upoważnił prezydium Klubu Literatów do zorganizowania Oddziału Z. Z. L. P. na Wybrzeżu w oparciu o statut Z. Z. L. P. Fakt ten niewątpliwie podniesie w skali ważności zagadnienia literackie na Wybrzeżu.

### ŻYCIE TEATRALNE

zapoczątkowały dwa stałe, zawodowe teatry na Wybrzeżu: Teatr Miejski „Komedia" w Gdyni pod dyr. H. Hałacińskiej i Teatr Dramatyczny Województwa Gdańskiego pod dyr. Al. Gąssowskiego. Dnia 26 października ub. r. Teatr Miejski „Komedia" otworzył sezon sztuką G. Zapolskiej „Moralność pani Dulskiej". Kierownictwo literackie tego teatru zapowiada w bież. sezonie rozwijanie idei humanistycznych przy uwzględnieniu żelaznego repertuaru utworów o społecznej problematyce współczesnej. Z tą myślą przewiduje wystawienie sztuk Perzyńskiego, Rittnera, Szaniawskiego, Blizińskiego, Fredry, Ibsena i nowych polskich autorów jak: T. Perkitny, B. Pepłowski, W. Śliwina, H. Buczyńska.

Premiera teatru każe wierzyć w powodzenie zamierzeń. „Dulską" wystawiono na ogół bezbłędnie. H. Hałacińska, niestrudzony dyrektor teatru, jej zdolny zespół oraz W. Jarszewska, reżyser, zdobyły z miejsca serca mieszkańców Gdyni. Druga z kolei premiera „Roxy" Huxley'a zgromadziła na 18 przedstawieniach trzykrotnie większą liczbę widzów (wzrost frekwencji z 150 na 400 widzów dziennie). Teatr w Gdyni zarysowuje się jako teatr reprezentacyjny Wybrzeża, mający przede wszystkim służyć sztuce narodowej.

Teatr Dramatyczny w Sopocie pomyślany jest jako teatr rozrywkowy, ruchomy. Braki techniczne prowincjonalnych sal teatralnych, nierówny poziom intelektualny, spowodowany okupacją i ruchem ludności, skłoniły do lansowania typu teatru, operującego niewielkim zespołem, uproszczoną dekoracją i różnorodnym montażem inscenizacyjnym, dostępnym i zrozumiałym nawet dla najbardziej „mieszanej" publiczności.

Teatr sopocki rozpoczął sezon sztuką Conrada „Jutro", dając świadectwo ambitnego potraktowania zadań teatralnych przez dyr. A. Gąssowskiego. W następnych premierach duży sukces odniosła sztuka „Powrót mamy" M. Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej (niedawno zmarłej w Szkocji). W kolejności przewidziane są teraz w Sopocie premiery: „Szkarłatne róże" Addo Benedetti i „Grube ryby" Bałuckiego.

Wobec istnienia dwóch zawodowych teatrów można mieć nadzieję, że skończy się na miejscowym terenie korsarstwo artystyczne niektórych zespołów wędrownych i zacznie krzepnąć tradycja dobrego teatru na Wybrzeżu.

### SPRAWY MUZYCZNE

rozwijają się pomyślnie: młodych muzyków i śpiewaków szkolą Miejskie Szkoły Muzyczne w Gdyni i w Sopocie (dyr. K. Czekotowski i W. Walentynowicz). Z uznanymi artystami zaznajamiają melomanów piątkowe recitale w Sopocie.

Ważną placówką Wybrzeża jest Filharmonia Bałtycka pod dyr. Zbigniewa Turskiego. Stworzył on ją prawie z niczego. Nuty i instrumenty, rozsiane po mieszkaniach prywatnych na terenie województwa, trzeba było zbierać z niemałym nakładem trudu. Angażowanie filharmoników było niemniej utrudnione, już to z powodu nadmiaru jednostkowych ambicji, jak i braku mieszkań. Pomimo tych trudności Filharmonia Bałtycka liczy obecnie 52 muzyków i daje publiczności utwory Chopina, Moniuszki, Czajkowskiego, Beethovena, Bacha, Rimskij-Korsakowa, Liszta, Webera z udziałem najlepszych polskich solistów jak: J. Ekier, I. Dubiska, L. Szpinalski i inni.

Ważna ta placówka w pełni realizuje program demokratyzacji muzyki. „To, co najlepsze, dla najbiedniejszych" stało się jej hasłem. Sekunduje temu troska o repertuar i staranne wykonanie. Siedzibą Filharmonii Bałtyckiej jest Sopot (sala Domu Katolickiego). Jej koncerty są powtarzane na razie w Gdyni i Gdańsku. Projektowany jest koncert w Szczecinie.

### SPRAWY PLASTYKI

pchnął na właściwe tory rozwojowe delegat Zarządu Głównego Z. Z. P. A. P. art. mal. J. Strzałecki. W rekordowym, czterotygodniowym okresie czasu, zalegalizował on oddział gdański Z. Z. P. A. P., uruchomił Instytut Sztuk Plastycznych w Sopocie i przeprowadził klasyfikację członków Z. Z. P. A. P. Pomagał mu w tym F. Smosarski oraz ekipa artystów: Wnukowie, Żuławscy, Studniccy, Królikiewicz.

Gdańska Szkoła Sztuk Pięknych liczy w obecnej chwili 84 uczniów. Otrzymują oni kwatery i stołówkę oraz pobierają naukę na 5 wydziałach: grafiki, liternictwa, rzeźby, malarstwa i propagandy przestrzennej. Profesorowie Szkoły poza swoją pracą organizacyjno-pedagogiczną, przygotowują teraz urządzenie ruchomych wystaw. Projektują również dekoracje ratusza gdańskiego, sali konferencyjnej Urz. Woj. Gdańskiego oraz portali wielu gmachów publicznych.

Wśród instytucji, organizujących życie kulturalne na Wybrzeżu, wspomnijmy też o działalności Spółdzielni Wydawniczej **„Czytelnik"**, która poza swoją właściwą pracą wydawniczą zaczyna ostatnio wykazywać dużo inicjatywy w działalności kulturalno-oświatowej na terenie całego województwa, organizując specjalną akcję odczytową i współuczestnicząc w urządzaniu szeregu innych imprez.

Obraz powyższy byłby niezupełny, gdyby nie wspomnieć na zakończenie o Akademii Lekarskiej w Gdańsku, o Miejskiej Bibliotece w Gdańsku, o Tow. Przyjaciół Nauki i Sztuki, Politechnice Gdańskiej, Gdańskiej Zbiornicy Muzealnej i licznych stowarzyszeniach naukowo-kulturalnych.

ZBIGNIEW TURSKI

# Na naszym froncie muzycznym

W kulturalnym rozwoju Wybrzeża, tu, gdzie dopiero zaczynamy rzeźbić nowe oblicze artystyczne, automatycznie stajemy się prekursorami tradycji polskiej sztuki na Wybrzeżu.

W kompleksie gdańsko-gdyńskiego miasta najlepszy klimat dla rozwoju artystycznego posiada Sopot. W sopockiej Operze Leśnej projektuje się urządzanie wielkich imprez teatralno - muzycznych. W Sopocie osiedliła się liczna rzesza artystów, by w spokoju, zdala od zgiełku miast portowych, prowadzić swą działalność, obsługując jednocześnie potrzeby 30-kilometrowego gdańsko-gdyńskiego giganta. Nie może i nie powinno to obrażać niczyich uczuć, ani zadrażniać grajdołkowego patriotyzmu lokalnego, że artysta woli dziś pracować i mieszkać w ciszy sopockiej, niż w typowo portowym środowisku Gdyni, lub w gruzach Gdańska.

W Sopocie ustanowiła też m. inn. swą siedzibę organizacja, zrzeszająca wszystkich muzyków zawodowych w województwie gdańskim t. j. okręgowy Związek Zawodowy Muzyków R. P. Kilka słów o tej placówce. Związek ten, współpracując ściśle z władzami centralnymi stolicy, stoi na straży interesów pracowników sztuki muzycznej i jej wysokiego poziomu. Walcząc o ugruntowanie egzystencji swych członków, żąda od nich jednocześnie wysokich kwalifikacji zawodowych i społecznych. Ponadto Związek wychodzi z założenia, że przy zastraszającym braku sił fachowych w kraju, praca każdego artysty winna być użyta tam, gdzie interes ogólny tego wymaga. Ceniąc indywidualizm jednostek, stawia równocześnie wielkie wymagania dyscypliny i wysiłku zbiorowego, zarówno w pracy zawodowej przy stawianiu zrębów życia kulturalnego na Wybrzeżu, jak i w działalności o charakterze społecznym.

Związek Zawodowy Muzyków R. P., w ścisłym porozumieniu z Radą Związków Zawodowych, dąży do upowszechnienia dobrej sztuki muzycznej. Inaczej mówiąc: mimo niesłychanie trudnych warunków bytowania na Wybrzeżu, mimo tego, że robotnik czy pracownik umysłowy domaga się w pierwszym rzędzie kąta mieszkalnego, chleba i opału, chcemy i staramy się o to, aby znalazł on chwilę oderwania się od codziennych trosk w postaci wzruszeń, jakich mu użyczyć mogą przeżycia artystyczne.

„Na temat sztuki dla mas stoimy na stanowisku, że dążenie dzisiejsze do tworzenia odrębnej sztuki, odrębnej literatury, odrębnych form życia kulturalnego specjalnie dla mas jest rażąco niedemokratyczne, a psychologicznie zupełnie fałszywe; dlatego pogląd ten zdecydowanie odrzucamy". Zacytowany tu fragment artykułu doskonałego polskiego kompozytora Stanisława Wiechowicza z październikowego numeru „Ruchu Muzycznego", wyraża pogląd przeważającej większości polskich muzyków, pogląd, który był zresztą jednym z haseł na walnym zjeździe kompozytorów polskich w Krakowie (29. VIII.—2. IX.). Z tego samego założenia wychodząc, staramy się dawać na Wybrzeżu koncerty na wysokim poziomie artystycznym i dobrą naukę muzyki.

Zorganizowane na Wybrzeżu zawodowe szkolnictwo w postaci Miejskiej Szkoły Muzycznej w Gdyni i Gdańskiego Instytutu Muzycznego z trzema oddziałami w Gdańsku, Oliwie i Sopocie, ma za zadanie kształcić przede wszystkim element, mogący zasilić kadry przyszłych orkiestr symfonicznych, których brak w kraju odczuwa się tak dotkliwie. Póki nie będziemy mogli stworzyć licznych placówek koncertowych, póty — sądzę — upowszechnienie sztuki muzycznej będzie problemem nie do rozwiązania. Na to trzeba licznych i dobrych orkiestr. Wybitne talenty wirtuozowskie zawsze będą ujawniać się tam, gdzie ruch muzyczny opierać się będzie o zespoły symfoniczne. Na domową grę na pianinie, uprawianą przez „panny na wydaniu", nie stać nas w dzisiejszym układzie sił artystycznych w kraju, specjalnie zaś na Wybrzeżu, chociaż „muzykowanie amatorskie" jest wielką i słuszną potrzebą społeczeństwa.

Orkiestry Wybrzeża to znów inny, najbardziej palący problem muzyczny. Dziś, niestety, stać nas tu jedynie na jeden zespół symfoniczny „z prawdziwego zdarzenia". Nie ma tak ważkich argumentów ani artystycznych, ani „faktycznych", aby móc sobie pozwolić na samodzielne zespoły we wszystkich miastach Wybrzeża, zespoły, kulejące wskutek rozdrobnienia wykwalifikowanych sił orkiestrowych. Jedynie zmobilizowanie wszystkich poważnych muzyków orkiestrowych w jednym zespole symfonicznym Wybrzeża i zasilenie tej placówki artystycznej wszystkimi funduszami, przeznaczonymi na ten cel, gwarantują trwałą i na odpowiednim poziomie działalność takiej orkiestry. Musi ona wzamian za udzieloną opiekę spełnić zadanie krzewiciela prawdziwej sztuki i pracę swą wykonywać rzeczowo i sumiennie.

W ocenie obecnej działalności orkiestr Wybrzeża musimy być surowi i wymagający. Tu, gdzie stawiamy pierwsze zręby naszej państwowości, każda tandeta jest niemal równoznaczna z sabotażem. Jeśli niewykwalifikowanej akuszerce lub kierowcy samochodowemu nie wolno uprawiać danego zawodu, to dlatego, że zła ich praca godzi w ład społeczny. Zła sztuka nie zabija życia ludzkiego — to prawda. Ale zabija w licznych rzeszach, słuchających muzyki, poczucie prawdy artystycznej, kradnie ogółowi możność zżycia się z prawdziwą sztuką. Na Wybrzeżu nie utrwala ona ładu, lecz tworzy „śmietnik artystyczny". Naj-

bardziej szczytne hasła, oparte o złą pracę, stają się zwykłą demagogią.

Nic nie jest w stanie usprawiedliwić złej **zawodowej** działalności orkiestr Wybrzeża. Mając to na uwadze, występuję zdecydowanie za utrwaleniem autorytetu tak zorganizowanych i świadomych swoich celów zespołów jak orkiestry wojskowe (dęte) oraz orkiestra symfoniczna „Filharmonii Bałtyckiej". Każdy zgodzi się z racją bytu orkiestry wojskowej dętej. To sprawa jasna. Niemniej też jasną jest racja bytu orkiestry symfonicznej „Filharmonii Bałtyckiej". Placówka ta udowodniła dotychczasową swą działalnością, że stanęła na najwyższym poziomie w ruchu artystyczno-muzycznym Wybrzeża. Utrwalenie, prawidłowy rozwój i najlepsze ustosunkowanie się wobec tej placówki winno być tedy ambicją i obowiązkiem naszych „trzech miast". Dlatego też powinny zamilknąć wszelkie spory, zazdrości, osobiste ambicje.

Tak jak nie wytrzymali konkurencji lokalni soliści wobec osiedlonych na Wybrzeżu wirtuozów „z prawdziwego zdarzenia", zrozumiałą jest rzeczą, że domorosłe zespoły orkiestrowe nie są w stanie dorównać placówkom o utrwalonych podstawach organizacyjno - artystycznych. Działalność takich dyletanckich zespołów staje się „korsarstwem" w dziedzinie sztuki i dlatego winny one ulec likwidacji, o ile same, skazane na powolne dogorywanie, nie upadną. Zresztą niewątpliwie w naszej społeczności muzycznej znajdą się dla tych członków orkiestr również miejsca, gdzie swoje możliwości wykorzystają z pożytkiem dla siebie i ogółu. Wraz z tą zmianą i usunięciem szkodliwej dotąd jeszcze ich działalności dokona się przyśpieszenie rozwoju życia artystycznego Wybrzeża.

W marcowej ofensywie zbrojnie zdobyto Wybrzeże, jako materialną część Rzeczypospolitej. Dziś prowadzimy ofensywę polskiej kultury w pełni świadomości, że póki nie nasycimy tej ziemi wartościami ducha, póty problem polskości Wybrzeża i naszych do niego praw nie będzie w pełni rozwiązany.

**Zbigniew Turski**

# Z kambuza*)

### O NIEZWYKŁYM LETNIKU NADMORSKIM

Letnicy zjawiali się nad Bałtykiem, zanim jeszcze wyrosły pensjonaty w Jastrzębiej Górze czy Orłowie. To fakt. Tu przecież przyjeżdżał latem romansować z Marysieńką przy szumie fal, łamiących się o brzegi Kolibek i Rzucewa, Sobieski. Mickiewicz w Połądze, „gdzie grzmiącymi piersiami białe roztrąca się morze", szeptał pannie Nieławickiej:

Błogo temu, kto w twojej pamięci utonie,
jak ten koral, lub owa jagoda perłowa,
co ją woda bałtycka w swym przeczystym łonie
pod lazurową barwą na wieki przechowa.

W cieniu puckiego kościoła, zdala od „mogił i krzyży" 63 roku, usiłował znaleźć duchową równowagę Felicjan Faleński i wyłowił ją sobie wierszem „W zatoce puckiej". Potem nad morze jeździło już więcej naszych letników z głębi lądu. Faworyzowali oni jednak przede wszystkim zniemczony Kołobrzeg i Sopot. O zapadłej wioszczynie Gdyni, o Jastarni, Chałupach, Karwii, gdzie świat był zabity deskami, wiedziano tyleż, co o osadach Przylądka Dobrej Nadziei.

Tak się sprawy miały, kiedy na parę lat przed pierwszą wojną światową zjawił się na kaszubskim brzegu letnik niezwykły, znany adwokat poznański, Bernard Chrzanowski. Sprowadziło go tu gorące umiłowanie polskiej ziemi, którą pragnął poznać aż do najdalszych, najmniej znanych zakątków. W tym samym czasie w obronie polskości tej ziemi kaszubskiej staczano zażarte walki na terenie niemieckiego parlamentu.

Zjawił się, przeszedł linię brzegu od Kolibek do ujścia Piaśnicy, oczarowały go „wiecznie zielone sosny, srebrne nadbrzeżne wierzby o bladych, jarzębiny o czerwieńszych jagodach... wiosną złoto kwitnące janowce". Był na cmentarzu oksywskim, który ujął go swą „jedynością" w Polsce, marzył pod sadzonymi ręką Jana III lipami alei rzucewskiej. I nagle zrozumiał, że dokonał odkrycia, że odnalazł „tu na cichym, szarym brzegu, prawie bez wiosny, o kraśnym, późnym lecie i wczesnej, słonecznej jesieni" źródło nowego piękna, którego w tym czasie szukali z zapałem Livingstone'a: Sienkiewicz na Riwierze i Czarnym Lądzie, Konopnicka w Italii i Brazylii, Sieroszewski aż na Madagaskarze. Opisywali oni urok dalekich krain, nie wiedząc, że istnieje w Polsce cmentarz nie ustępujący słynnemu cmentarzowi z Fiesole, że mamy wybrzeże pod Rozewiem i Karwią piękniejsze niż Jasny Brzeg. Słusznie zauważył E. A. Poe, że najtrudniej zobaczyć to, co leży tuż pod nosem.

Chrzanowski stwierdziwszy, że „ani w malarstwie, ani w poezji czy powieści naszej morza i nadmorskiego, kaszubskiego brzegu jakby nie było", postanawia starać się o naprawienie tej krzywdy, wyrządzonej naszemu wybrzeżu. Usiłuje zainteresować społeczeństwo i literatów tym nieznanym krajem. Pierwszy odczyt p. t. „Kaszubskie wybrzeże nad Bałtykiem" wygłasza w r. 1902 w ramach zorganizowanego przez siebie „Towarzystwa Wykładów Ludowych im. Mickiewicza" w Poznaniu. Tu też urządza w kilka lat potem pierwszą wieczornicę nadmorską. W roku 1910 wychodzi spod jego pióra zwięzły przewodnik z 6 obrazami i mapą: „Na kaszubskim brzegu", który pod lipy rzucewskie zaprowadził wśród innych wycieczkowiczów Tadeusza Micińskiego. Wiersz jego poświęcony królewskiej alei ukazuje się już w rok później na łamach „Tygodnika Ilustrowanego". Pierwsza to jaskółka zwiastująca wiosnę wybrzeża w naszej literaturze. Niestrudzony propagator posyła swój przewodnik z wiązanką nadmorskich kwiatów Konopnickiej, tak jak przedtem posłał Sienkiewiczowi materiały, mające mu umożliwić wprowadzenie Kaszubów „Na pole chwały" pod Wiedeń. Trud ten nie przyniósł wielkiego plonu. Sienkiewicz powieści nie skończył i tylko kilka zdań pod koniec pierwszego tomu poświęcił regimentowi kaszubskiemu, Konopnicka, będąc w Gdańsku i Oliwie, nie zdobyła się na odwiedzenie Oksywia ani Helu. Chrzanowski nie zraża się tym. W 1913 ma znowu dwa odczyty p. t. „Nad polskim morzem", ilustrowane dziesiątkami własnych fotografii. Wreszcie w przededniu naszego powrotu nad Bałtyk wydaje w roku 1917 niewielką książeczkę: „Z wybrzeża i o wybrzeżu"

Nie podobna sięgnąć bez wzruszenia do tej wiązanki szkiców, pełnych niezwykłego, świeżego uroku, jak nadmorskie mikołajki. Z każdej niemal karty wionie tu ostry zapach morza i traw, rosnących na wydmach. Ówczesna dzika poezja naszego brzegu, została przyłapana tu na gorąco, jak ta młoda dziewczyna rybacka pod Chłapowem, która „na wzgórzu, na świeżo zoranej, czarnej roli stoi mała, bosa, zapatrzona i zasłuchana w rzucające się gniewnie i huczące morze".

Niezwykła książka! Wczytuje się w nią Żeromski, otrzymawszy ją od autora z dedykacją: „Dla Piotra Rozłuckiego".

Z rozrzewnieniem tę samą książeczkę czyta Pigoń. Niemiecki generał gubernator Beseler zakazuje jej rozpowszechniania, jakby zagrażała całości cesarstwa. Później stała się ona niejako drogowskazem, według którego wróciliśmy nad nasze morze w 1920 r.

Z niesłabnącym zapałem wziął się potem Chrzanowski do propagowania morza. Dzięki niemu wprowadził Nowowiejski do „Legendy Bałtyku" prastarą pieśń kaszubskich rybaków („Oj, żeglarze, żeglajże").

Niestety B. Chrzanowskiemu nie było już dane dożyć drugiego powrotu Polski nad Bałtyk. Zmarł w Warszawie, na krótki czas przed wybuchem Powstania. Odszedł, ale pamięć o nim nie zginie na tej ziemi, którą tak ukochał.

**Franciszek Fenikowski**

*) Kambuz w terminologii morskiej oznacza kuchnię okrętową. W rubryce tej zamieszczać będziemy drobne, źródłowe wiadomości z terenu Wybrzeża i ze szlaków morskich.

### KASZUBSKI RUCH LITERACKI I NAUKOWY

Dnia 8-go listopada ub. r. powstało w Wejherowie Koło kaszubskich naukowców, literatów i artystów p. n. „Vjitrznjo". Na pierwszym zebraniu Koła wybrano zarząd w osobach: Bruno Richert — prezes, Józef Willma — wiceprezes, Jan Rompski — sekretarz. Koło liczy obecnie kilkunastu czynnych pisarzy kaszubskich.

„Vjitrznjo" wespół z kaszubskim zespołem artystycznym „Lubotnjice Zdrzadnji" (Miłośnicy sceny") organizuje obecnie „Literackie Piątki", które mają się odbywać w Domu Kultury w Wejherowie.

Wkrótce zacznie się ukazywać w Wejherowie dwumiesięcznik literacko-naukowy p. n. „Cassubia".

Przy „Zrzesz Kaszebsko", piśmie ludu kaszubskiego, wydawanym w Wejherowie, wychodzi równocześnie dodatek literacko-naukowy p.n. „Checz". Współpracują w nim m. in.: Bruno Richert, Klemens Derc, Jan Rompski.

Kaszubski Uniwersytet Ludowy organizuje się obecnie staraniem Koła „Vjitrznjo", Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici" i inteligencji kaszubskiej. Będzie on przygotowywał młodzież do pracy społecznej na terenie Kaszub, zajmując się równocześnie badaniami naukowymi nad Kaszubszczyzną. (A. T.).

### DLACZEGO „WRZESZCZ"?

Nazwy osad są nieraz ciekawym materiałem dla historycznych badań. Kryje się w nich często głębsze, niżby pozornie wydawało się, znaczenie, a ustalenie ich pierwotnego brzmienia dać może ciekawą odpowiedź na pytanie, dotyczące pierwotnych mieszkańców, ich zajęcia, pochodzenia, narodowości. Zagadkowe są nieraz te nazwy, i mimo szeregu badań, dociekań i hipotez nie zawsze uda się rozwiązać ich istotny sens i znaczenie — mimo to jednak nawet częściowy wynik w tej dziedzinie staje się ciekawym przyczynkiem historycznym.

Może niejednego zastanawiała polska nazwa przedmieścia Gdańska „Wrzeszcz". Próbowano ją czasem ironizować. Tymczasem jest to nazwa historyczna, dawna, o rodowodzie prawie siedemsetletnim.

W drugiej połowie XIII wieku, kiedy ziemią pomorską i gdańską książęta pomorscy jeszcze władali, tuż pod Gdańskiem, w osadzie, zwanej już wtedy „Wrzeszczem" znajdował się młyn, który dzierżył były sołtys Gdańska, Arnold. Razem z nim współwłaścicielem młyna był jego zięć Apoloniusz. Z nieznanych bliżej powodów sprzedali obaj właściciele młyn ten w 1263 roku klasztorowi Cystersów z sąsiedniej Oliwy, w którego imieniu kupuje ten młyn opat klasztoru Wichman. Sam akt kupna potwierdza książę pomorski Świętopełk, dokumentem wystawionym na zamku w Gdańsku w dniu 25-go listopada 1263 roku.

Jest to najstarsza, o ile wiadomo, wzmianka o Wrzeszczu, którego nazwa pisana jest w łacińskim tekście „Vriezst".

Nazwa ta i jej słowiańskość nie nasuwają żadnej wątpliwości co do pierwotnych panów i mieszkańców tej osady. Może językoznawcy wyjaśnią jej etymologiczne znaczenie, — nam wystarczy stwierdzenie historyczne, że jak Gdańsk był pierwszą i najstarszą nazwą osady powstałej u ujścia Motławy do Leniwki, tak Wrzeszcz był pierwotną i najstarszą nazwą podgdańskiej osady, późniejszej wioski, a ostatnio przedmieścia Gdańska. I do tej historycznej nazwy wróciła obecnie urzędowa terminologia.

(M. P.)

### NAZWA „SOPOT" ISTNIAŁA JUŻ W XIII WIEKU

Sopoty czy Sopot, liczba mnoga, czy pojedyncza — to pytanie często ostatnio stawiane i dyskutowane. Nie wchodząc w problemy językoznawcze, stwierdzić należy na podstawie danych historycznych, że już w drugiej połowie XIII wieku kilkakrotnie pojawia się w dokumentach wieś „Sopoth". W tej formie występuje ona w roku 1283, by w latach 1291 i 1295 przyjąć już zupełnie wyraźną i nowoczesną formę „Sopot". Tak więc to brzmienie nazwy bałtyckiego kąpieliska jest jego najstarszą formą, formą z czasów jeszcze przedkrzyżackich, a więc formą pierwotną, słowiańską i do niej słusznie powróciliśmy. (M. P.)

### PIERWSZY POLSKI FRACHTOWIEC W KANALE PANAMSKIM

S/s „Bałtyk" jest drugim statkiem pod banderą P. M. H., który odbył rejs dookoła świata. W rejsie tym s/s Bałtyk odwiedził szereg portów atlantyckich U. S. A., portów Ameryki Południowej, Afryki, Pacyfiku i Australii. Podczas tych podróży s/s Bałtyk przeszedł przez Kanał Panamski jako pierwszy frachtowiec polski. Poprzednio przepłynął przez Panamę tylko statek szkolny „Dar Pomorza". (J.K.)

### PIERWSZY STATEK W GANDAWIE

Pierwszym statkiem, jaki wpłynął do oswobodzonej Gandawy (NB przez dywizję polską działającą na Zachodzie) był polski s/s Skrzetuski. Burmistrz Gandawy wręczył kapitanowi s/s Skrzetuski plakietę. Plakieta ta miała z jednej strony herb Gandawy, a z drugiej napis w języku angielskim „To the Polish S-S Skrzetuski the first ship who entered Ghant after liberation". Kapitan wzamian ofiarował miastu banderę Polskiej Marynarki Handlowej, którą uroczyście zawieszono na ratuszu.

(J. K.).

## Ilustracje w I-szym numerze

**Wśród zabytków gdańskich, jeden z najstarszych i najbardziej popularnych — spichrz nad Motławą (str. 1), uległ zniszczeniu w czasie ostatnich działań wojennych. — Jan Dantyszek (str. 2) w gronie najwybitniejszych poetów 16 wieku zasłynął m. i. jako autor utworu „Jonas propheta" (1538 r.), w którym, karcąc „bezbożność, pychę i niewstyd" senatu i mieszczan Gdańska, przepowiedział klęskę tego miasta. Głęboko wykształcony ten humanista, pochodził z ubogiej, gdańskiej rodziny Flachsbinderów, wywodzących swe nazwisko od rzemiosła, którym trudnili się jego przodkowie (Flachsbinder, po niem. powroźnik). Dantyszek studiował w Akademii krakowskiej. Z czasem, zostawszy sekretarzem króla Zygmunta I-szego, posłował wielokrotnie w misjach dyplomatycznych Rzplitej za granicą. 1532 r. objął biskupstwo chełmińskie, 1537 r. warmińskie. Zmarł w Heilsbergu w 1548 r.**

**Flagę morską Gdańska (str. 3) zdobiła od najdawniejszych czasów, umieszczona na czerwonym polu nad dwoma krzyżami — korona, znak panowania Rzplitej. — Dwa buki, ścięte przez Niemców na witomińskim wzgórzu pod Gdynią — zdjęcie Bernarda Chrzanowskiego (str. 4). — Stefan Żeromski w Helu w 1922 r. (str. 5). — Zdjęcie Żeromskiego w otoczeniu akademickiej młodzieży w Gdyni w 1921 r., ze zbiorów mec. Jana Malewicza w Sopocie, ówczesnego członka akademickiego obozu (str. 5). — Sieci w słońcu (str. 11), z albumu „Polska na morzu", wyd. Gł. Ks. Woj. 1935 r.**

**Redakcja „Wiatru od morza" otrzymała od marynarzy, przybywających do Gdyni na polskich statkach, szereg zdjęć, ilustrujących ich życie na szlakach konwojów w latach ostatniej wojny. Dziewięć z nich zamieszczamy na str. 12 i 13, zapowiadając jednocześnie ukazanie się dalszych, łącznie z morskimi reportażami, w następnych n-rach.**

**Nagłówek „Wiatr od morza" projektowała art. graf. Natalia Jarczewska.**

**Ż. I.**

# Gdańska Szkoła Sztuk Pięknych

Przed rokiem 1939 w naszym szkolnictwie art. plastyki nie zawsze dobrze się działo. Wówczas już czynniki miarodajne zaczęły opracowywać jego reformę. Absolwenci szkół plastycznych opuszczali je, często nie rozumiejąc istotnych zagadnień i problemów sztuki, braki te nadrabiając łatwizną i blagą. Powodem tych karygodnych posunięć byli po części obojętni, niewłaściwi pedagodzy, lub nieumiejętnie skonstruowany program nauczania. Obecnie Związek Plastyków wraz z Ministerstwem Kultury i Sztuki opracował nowy ramowy program szkolnictwa artystycznego plastyki w Polsce. Na katedry powoływani są ludzie po przesianiu przez gęste sito selekcji. Przewidziano w różnych dzielnicach kraju otwarcie siedmiu Instytutów Sztuk Plastycznych o poziomie szkół wyższych, do których warunkiem przyjęcia jest matura i egzamin z rysunku. Okres nauczania trwa cztery lata. Dyplom daje pełne uprawnienia mistrzowskie.

Jedną właśnie z takich uczelni jest Gdańska Szkoła Sztuk Pięknych w Sopocie, która powstała dzięki poparciu Ministerstwa Kultury i Sztuki i pełnemu zrozumienia ustosunkowaniu się tutejszych władz wojewódzkich i miejskich.

Dyrektorem tej ważnej na Wybrzeżu placówki mianowany został Janusz Strzałecki, absolwent Akademii Krakowskiej, który w swoim czasie wraz z kolegami z pracowni Pankiewicza: Cybisem, Jaremą, Waliszewskim, Czapskim i in. zawiązał znaną u nas grupę pod nazwą „kapistów" (Komitet Paryski). J. Strzałecki w Paryżu studiował mistrzów Luwru i poznawał współczesną sztukę francuską. Brał udział we wszystkich wystawach „kapistów" w kraju i za granicą. Wystawiał swoje prace na wielu Salonach Paryskich (nagroda na konkursie Pol. Art. Plast. w Paryżu). Jest on gorliwym wyznawcą realizmu i pragnie w Polsce odrodzenia tego kierunku na podłożu jego najlepszych tradycji.




*Drzeworyt Stanisława Rolicza (Gdynia)*

Dlatego też i w myśl założeń, które zwyciężyły na ogólnopolskim zjeździe delegatów ZPAP w Krakowie (26—29 sierpień ub. r.), J. Strzałecki, w uczelni powierzonej swej pieczy, największą wagę przywiązuje do studium z natury, słusznie twierdząc, że tylko na tej solidnej podbudowie można wyszkolić dobrego użytkowca.

Reszta personelu profesorskiego składa się także z dojrzałych i pełnowartościowych plastyków. Jacek Żuławski, absolwent Akademii Warszawskiej (3 wystawy w I.P.S. i 2 paryskie), objął wykłady liternictwa i rysunku na kursie wieczornym; w roku przyszłym przewidziana jest pod jego kierunkiem pracownia malarstwa ściennego. Malarstwo stalugowe, oprócz dyr. Strzałeckiego, prowadzi Juliusz Studnicki, wychowanek Ak. Krakowskiej, profesor kursów dla nauczycieli w Krzemieńcu, (grupa mal. „Pryzmat", szereg wystaw Kraków, Warszawa, Paryż). Pracownia rzeźbiarska znajduje się w rękach Mariana Wnuka, absolwenta Akademii Warszawskiej, b. profesora Instytutu Sztuk Plastycznych we Lwowie, laureata pierwszej nagrody za projekt pomnika Marsz. Piłsudskiego w roku 1939 w I. P. S. i przed kilkoma miesiącami rozstrzygniętego konkursu na projekt pomnika wdzięczności Armii Czerwonej w Krakowie. Historię sztuki wykłada Ksawery Piwocki, b. dyr. Muzeum Przem. Art. we Lwowie; perspektywę i kreślenia inż. architekt Stefan Listowski, b. asystent prof. Pniewskiego w Akademii Warszawskiej, wykładowca rzeźby monumentalnej. Józefie Wnukowej abs. Akademii Warsz. zlecono wtajemniczanie studentów w kompozycję brył i płaszczyzn. Studium pedagogiczne, które ma na celu szkolenie przyszłych nauczycieli rzemiosł i przemysłu artystycznego prowadzić ma prof. Bodziński.

Rok szkolny 1945—46 traktowany jest jako kurs ogólny ze względu na nieprzygotowanie młodzieży. W przyszłym roku przewidziane jest otwarcie pracowni ceramicznej, tkackiej, grafiki art. czystej i użytkowej, dekoracji wnętrz, metaloplastyki i in.

Instytuty Sztuk Plastycznych w poszczególnych miastach, w zależności od okręgu, w którym się znajdują, będą kładły szczególny nacisk na rozwój tej pracowni specjalnej, która jest związana z gałęzią przemysłu, jaką dany okręg reprezentuje. Tak więc pracownia dekoracji wnętrz w Gdańskiej Szkole Sztuk Pięknych na Wybrzeżu nastawiona będzie w kierunku szkolenia artystów na dekoratorów wnętrz okrętów i statków; w tym też celu podejmie ona współpracę z Wydziałem Budowy Okrętów na Politechnice Gdańskiej.

Aby udostępnić kształcenie się wszystkim, zamieszkałym na terenach odległych od Sopotu, staraniem G. S. S. P. powstała bursa przy wojewódzkim i miejskim ZWM.

Gdańska Szkoła Sztuk Pięknych jest placówką pracy, której z jednakowym entuzjazmem oddają się profesorowie i uczniowie. Rezultat ich twórczego wysiłku będzie niewątpliwie owocny.

**Natalia Jarczewska**



**KOLEGIUM REDAKCYJNE:** Bolesław Wit Święcicki, Janusz Stępowski, Marian Brandys.
**REDAKTOR:** Janusz Stępowski. Redaktor przyjmuje we wtorki i piątki od godz. 10 — 12. **REDAKCJA i ADMINISTRACJA:** Gdynia, Mściwoja Nr 9, I p. telefon 222-60.
**WYDAWCA:** Spółdz. Wydawnicza „Czytelnik" Tłoczono w drukarni „Czytelnik" Nr. 8, Gdynia, Mściwoja Nr 7, W-00128